

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HENRYK SIENKIEWICZ

HANIA

WYDAWNICTWO TOWER PRESS

GDAŃSK 2002

I

Kiedy stary Mikołaj umierając zostawił Hanię opiece i sumieniu memu, miałem wówczas lat szesnaście; ona zaś, młodsza niespełna o rok, również wychodziła zaledwie z lat dziecinnych.

Od łoża zgasłego dziadka odprowadziłem ją prawie przemocą i oboje udaliśmy się do naszej domowej kaplicy. Drzwi jej były otwarte; przed starym bizantyjskim obrazem Matki Bożej paliły się dwie świece, których blask słabo tylko rozwidniał mrok, panujący w głębi ołtarza. Klękaliśmy jedno obok drugiego. Złamana bólem, zmęczona łkaniem, bezsennością i żalem dziecina oparła swą biedną główkę o moje ramię i tak pozostawaliśmy w milczeniu. Godzina była późna; w sali przyległej do kaplicy, na starym gdańskim zegarze kukułka wykukała chrapliwym głosem godzinę drugą po północy; wszędy panowała głęboka cisza, przerywana tylko odległym szumem śnieżnej zawieci, wstrząsającej ołowianą oprawą okienek w kaplicy i bolesnymi westchnieniami Hani. Nie śmiałem się ozwać do niej żadnym słowem pociechy, tuliłem ją tylko do siebie, jakby już opiekun albo brat starszy. Nie mogłem się jednak modlić; tysiączne wrażenia, uczucia rozkołysały mi serce i głowę! Różnorodne obrazy przesuwały mi się przed oczyma, ale powoli z tego zamętu wyłaniała się jedna myśl i jedno uczucie, oto, że ta bledziuchna twarzyczka z przymkniętymi oczyma, wsparta na moim ramieniu, ta bezbronna, biedna, maleńka istota staje mi się teraz ukochaną siostrą, za którą oddałbym życie i za którą, gdyby była potrzeba, rzuciłbym rękawicę całemu światu.

Tymczasem nadszedł brat mój młodszy Kazio i klęknął za nami, a potem ksiądz Ludwik i kilkoro ludzi ze służby. Odmawialiśmy pacierz wieczorny wedle codziennego u nas zwyczaju. Ksiądz Ludwik czytał głośno modlitwy, a my powtarzaliśmy je za nim lub odpowiadaliśmy chórem w litanie; ciemna zaś twarz Matki Boskiej z dwoma cięciami szabli na policzku poglądała na nas dobrotliwie, zdawała się brać udział w rodzinnych naszych troskach, zmartwieniach, doli i niedoli i błogosławić wszystkich u Jej stóp zebranych. Przy modlitwie, gdy ksiądz Ludwik zaczął wymieniać zmarłych, za których odmawialiśmy zwykle

„wieczny odpoczynek”, i dołączył do nich imię Mikołaja, Hania poczęła łkać głośno na nowo, ja zaś wykonałem sobie w duszy cichą przysięgę, że zobowiązań, jakie na mnie włożył nieboszczyk, święcie dochowam, choćby mi to kosztem największych ofiar wykonać przyszło. Był to ślub młodego, egzaltowanego chłopaka, nie rozumiejącego jeszcze ani możliwej wielkości ofiar, ani odpowiedzialności, ale nie pozbawionego szlachetnych porywów i tkliwych uniesień duszy.

Po skończonym pacierzu rozeszliśmy się na spoczynek. Polecilem starej Węgrowskiej, gospodyni, aby odprowadziła Hanię do pokoiku, w którym odtąd miała mieszkać, nie zaś jak zwykle do garderoby, i żeby pozostała z nią razem przez całą noc; sam zaś, ucałowawszy serdecznie sierotkę, udałem się do oficyny, w której mieszkalem razem z Kaziem i księdzem Ludwikiem, a którą nazywano w domu stancją. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Mimo żalu za Mikołajem, którego kochałem serdecznie, czułem się dumny i szczęśliwy niemal ze swojej roli opiekuna. Podnosiło mnie to we własnych oczach, że ja, szesnastoletni chłopak, miałem już być podporą dla jednej słabej i biednej istoty. Czułem się mężczyzną. „Nie zawiedziesz się, poczciwy starcze – myślałem sobie – na twym paniczu i dziedzicu; w dobre ręce złożyłeś przyszłość twojej wnuczki i możesz spać spokojnie w mogile.” Istotnie, o przyszłość Hani byłem spokojny. Myśl, że Hania z czasem dorośnie i że trzeba ją będzie wydać za mąż, nie przychodziła mi wtedy do głowy. Myślałem sobie, że zawsze zostanie przy mnie, otoczona staraniami jak siostra, kochana jak siostra, smutna może, ale spokojna. Wedle odwiecznego zwyczaju najstarszy syn brał przeszło pięć razy tyle majątku, ile młodsze rodzeństwo; młodszy zaś synowie i córki szanowali ten zwyczaj i nigdy nie występowali przeciw niemu, jakkolwiek nie było w rodzie naszym prawnego majoratu. Byłem najstarszym synem rodziny, a zatem większość majątku miała w przyszłości należeć do mnie; jakkolwiek więc student jeszcze, doglądałem już nań jak na swoją własność. Ojciec należał do majątniejszych w okolicy obywateli. Ród nasz nie odznaczał się wprawdzie bogactwem magnatów, ale ową wielką, starszlachecką zamożnością, dającą chleba w bród i żywot cichy, dostatni, w rodzinnym gnieździe aż do śmierci. Miałem więc być względnie bogaty i dlatego ze spokojem patrzyłem w przyszłość tak swoją, jak i Hani, wiedząc, że jakakolwiek dola ją czeka, zawsze przy mnie znajdzie spokój i oparcie, jeżeli go będzie potrzebować.

Z tymi myślami usnąłem. Nazajutrz rano począłem wprowadzać w czyn powierzoną mi opiekę. Ale w jakież to czyniłem sposób śmieszny i dziecinny! A jednak dziś, gdy to sobie przypomnę, nie mogę się oprzeć pewnemu rozczuleniu. Gdy przyszliśmy z Kaziem na śniadanie, zastaliśmy już siedzących przy stole: księdza Ludwika, madame d’Yves, naszą guwernantkę, i dwie moje małe siostrzyczki, siedzące, jak zwykle, na wysokich trzciniowych

krzesłach, przebijające nóżkami i gwarzące wesoło. Rozsiadłem się z nadzwyczajną powagą na krzesło ojca i rzuciwszy okiem dyktatora na stół, zwróciłem się do posługującego chłopaka i rzekłem sucho a rozkazująco:

– Nakrycie dla panny Hanny.

Na wyrazie „panna” położyłem umyślny nacisk.

Tego dotąd nigdy nie bywało. Hania zwykle jadła w garderobie, bo jakkolwiek matka moja życzyła sobie, aby siadała razem z nami, stary Mikołaj nigdy na to nie chciał pozwolić powtarzając:

– Na co to się zdało; niech zna mores dla państwa. Jeszcze czego!

Teraz ja wprowadziłem nowy zwyczaj. Poczciwy ksiądz Ludwik uśmiechnął się, pokrywszy uśmiech szczyptą tabaki i fularową chustką od nosa; pani d’Yves skrzywiła się, bo mimo dobrego serca, jako pochodząca ze starej rodziny szlacheckiej francuskiej, wielką była arystokratką; chłopak zaś usługujący, Franciszek, otworzył szeroko usta i patrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Nakrycie dla panny Hanny! czy słyszysz? – powtórzyłem.

– Słucham wielmożnego pana – odpowiedział Franciszek, któremu widocznie zaimponował ton, jakim do niego mówiłem.

Dziś wyznaję, że i „wielmożny pan” zaledwie mógł powstrzymać uśmiech zadowolenia, jaki na usta jego wywoływał nadawany mu po raz pierwszy w życiu ten tytuł. Powaga jednak nie pozwoliła wielmożnemu panu się uśmiechnąć. Tymczasem nakrycie za chwilę było gotowe, otworzyły się drzwi i weszła przez nie Hania; ubrana w czarną suknię, którą przez noc uszyły jej panna służąca i stara Węgrowska, blada, ze śladami łez na oczach i ze swymi długimi złotymi warkoczami, które spływały po sukience i kończyły się wstążeczkami z czarnej żałobnej krepy, wplecionej między promienie włosów.

Powstałem i podbiegłszy ku niej, przyprowadziłem ją do stołu. Starania moje i cały ów splendor zdawały się tylko zawstydzać, mieszać i męczyć dziecinę; ale nie rozumiałem jeszcze wówczas, że w chwili smutku cichy, samotny, odludny kącik i spokój więcej jest wart niż hałaśliwe owacje przyjaciół choćby z najlepszego serca płynące. Dręczyłem tedy Hanię w najlepszej wierze swoją opieką, sądząc, że wywiązuje się ze swego zadania doskonale. Hania milczała i tylko od czasu do czasu odpowiadała na moje pytania, co będzie jadła i piła:

– Nic, proszę łaski panicza.

Zabolało mnie owo: „proszę łaski panicza”, tym bardziej że zwykle Hania była ze mną poufalsza i mówiła mi po prostu: „paniczu”. Ale właśnie rola, jaką odgrywałem od wczoraj i

odmienne warunki, w jakich postawiłem Hanię, czyniły ją tym nieśmielszą i pokorniejszą. Zaraz po śniadaniu wziąłem ją na bok i rzekłem:

– Haniu, pamiętaj, że odtąd tyś moją siostrą. Odtąd nie mów mi nigdy: proszę łaski panicza.

– Dobrze, proszę łask... dobrze, paniczu.

Byłem w dziwnym położeniu. Chodziłem z nią po pokoju i nie wiedziałem, co z nią mówić. Rad bym był ją pocieszać, ale na to trzeba było wspomnieć Mikołaja i wczorajszą śmierć jego, co by Hanię do nowych łez przywiodło i byłoby tylko odnawianiem bóleści. Skończyło się więc na tym, że siedliśmy oboje na niskiej kozetce, stojącej w końcu pokoju; dziecina znowu oparła główkę o moje ramię, ja zaś począłem gładzić ręką jej złote włoski.

Tuliła się do mnie rzeczywiście jak do brata, i może owo słodkie uczucie ufności, powstające w jej sercu, wywołało nowe łzy w jej oczach. Płakała rzewnie, ja zaś pocieszałem ją, jakem umiał.

– Znowu płaczesz, Haniułko? – mówiłem – dziadek twój w niebie, a ja się będę starał...

Nie mogłem i ja mówić dłużej, bo i mnie się na łzy zbierało.

– Paniczu, mogę ja do dziadzi? – wyszeptwała.

Wiedziałem, że przyniesiono trumnę i że teraz właśnie kładziono w nią Mikołaja; dlatego nie chciałem, żeby Hania poszła do ciała dziadka pierwej, nim wszystko będzie gotowe. Ale za to poszedłem sam.

Po drodze spotkałem panią d'Yves, którą prosiłem, żeby zaczekała na mnie, ponieważ potrzebuję z nią chwili rozmowy. Wydawszy ostatnie rozporządzenia pogrzebowe i pomodliwszy się u zwłok Mikołaja, wróciłem do Francuzki i po kilku wstępnych słowach prosiłem ją, czyby po jakimś czasie, kiedy pierwsze tygodnie żałoby przejdą, nie chciała dawać Hani lekcji francuskiego i muzyki.

– *Monsieur Henri* – odpowiedziała pani d'Yves, którą widocznie gniewało, że rozporządzam się wszędzie jak szara gęś po niebie – ja uczyniłabym to najchętniej, bo kocham bardzo tę dziewczynkę, ale nie wiem, czy to leży w zamiarach rodziców pana, jak również nie wiem, czy zgodzą się na rolę, jaką pan usiłujesz samowolnie nadać wśród waszej rodziny tej maleńkiej. *Pas trop de zèle, monsieur Henri.*

– Ona jest pod moją opieką – odrzekłem wyniośle – i ja za nią odpowiadam.

– Ale ja nie jestem pod opieką pana – odparła pani d'Yves – i dlatego pozwoli pan, że zaczekam aż do powrotu pańskich rodziców.

Rozgniewał mnie ten upór Francuzki, ale szczęściem nierównie lepiej poszło mi z księdzem Ludwikiem. Pocciwy księżysko, który i tak poprzednio już uczył Hanię, nie tylko

że się zgodził na dalsze i obszerniejsze jej kształcenie, ale jeszcze pochwalił mnie za moją gorliwość.

– Widzę – mówił – że szczerze bierzesz się do spełnienia swego zadania, a jakkolwiek jesteś młodym i dziecko jeszcze, ale ci się to pochwała; pamiętaj tylko tak być wytrwałym, jak gorliwym.

I widziałem, że ksiądz kontent był ze mnie. Rola pana domu, jaką sobie nadawałem, bawiła go raczej, niż gniewała. Widział starszek, że dużo było w tym wszystkim dzieciństwa, ale powody uczciwe, więc dumny był i cieszył się z tego, że jego posiew, rzucony w moją duszę, nie marniał. Zresztą kochał mnie stary ksiądz bardzo; ja zaś, o ile z początku, za lat zupełnie dziecinnych, bałem się go z całej duszy, o tyle teraz, w miarę jak dochodziłem do lat młodzieńczych, zawojowywałem go coraz bardziej. Miał do mnie słabość, więc pozwolił sobą powodować. Hanię też kochał i rad był los jej, o ile leżało w jego mocy, polepszyć; z jego wiec strony nie spotkałem najmniejszego oporu. Pani d'Yves w gruncie rzeczy miała dobre serce i również, jakkolwiek trochę na mnie rozgniewana, otoczyła Hanię troskliwością. Już to na brak serc kochających nie mogła się sierota uskarżać. Służba nasza poczęła ją traktować inaczej: nie jak koleżankę, ale jak panienkę. Wola najstarszego syna w rodzinie, choćby nawet i dziecka, była u nas bardzo szanowana. Tego wymagał i mój ojciec. Od tej woli służyło prawo apelacji do starszego pana i starszej pani, ale nie wolno było sprzeciwiać się jej bez upoważnienia. Najstarszemu synowi również nie wolno było mówić inaczej, jak „paniczu”, od najmłodszych lat jego. Służba, również jak młodsze rodzeństwo wdrażane było do szacunku dla najstarszego, a szacunek ten pozostawał potem na całe życie. „Tym stoi rodzina”, mawiał mój ojciec i istotnie, skutkiem tego, dobrowolny, a nie oparty na prawie układ rodzinny, mocą którego najstarszy miał więcej majątku od młodszych, utrzymywał się od dawna. Była to rodzinna tradycja, przechodząca z pokolenia na pokolenie. Ludzie przywykli byli patrzeć na mnie jak na przyszłego pana, a uczuciu temu nawet nieboszczyk stary Mikołaj, któremu wszystko było wolno i który jeden tylko nazywał mnie po imieniu, nie mógł się do pewnego stopnia oprzeć.

Matka trzymała w domu apteczkę i sama nawiedzała chorych. W czasie cholery spędzała całe noce w chatach włościańskich wraz z doktorem, narażając się na śmierć niechybną, a ojciec, który o nią drżał, przecie jej tego nie bronił powtarzając: „Obowiązek, obowiązek.” Zresztą, i sam ojciec, lubo surowy, dawał zapomogi: nieraz darowywał robociznę, przebaczał, mimo wrodzonej popędliwości, winy łatwo; płacił nieraz długi za włościan, sprawiał wesela, trzymał dzieci do chrztu; nam kazał ludzi szanować, starym zaś gospodarzom na ich powitania odpowiadał czapką: ba! często nawet wzywał ich na naradę. Ale też nie można

inaczej powiedzieć, jak że chłopci przywiązani byli do całego rodu bardzo, czego później niejednokrotnie wyraźne złożyli dowody.

Mówię to wszystko dlatego, raz, aby odmalować wiernie, jak to u nas jest i bywało; po wtóre, aby okazać, że w kreowaniu Hani na „panienkę” nie spotkałem wielkich trudności. Najwięcej biernego oporu spotkałem w niej samej, bo dziecinka zbyt była lękliwą i w zbytnej czci dla „państwa” przez samego Mikołaja wychowaną, aby z łatwością mogła się ze swoim losem pogodzić.

II

Pogrzeb Mikołaja odbył się w trzy dni po jego śmierci. Sąsiedztwo zjechało na ten pogrzeb dosyć licznie, chcąc uczcić pamięć starego, który, jakkolwiek sługa, przecież powszechnie był szanowany i lubiany. Starca pochowano w naszych grobach rodzinnych, a trumnę jego postawiono przy trumnie dziada mojego, pułkownika. Przez cały czas ceremonii pogrzebowych nie opuszczałem Hani ani na chwilę. Przyjechała ze mną w sankach i chciałem, żeby ze mną wracała, ale ksiądz Ludwik kazał mi iść prosić sąsiadów, żeby z cmentarza wstąpili do nas dla ogrzania się i posiłku. Hanią tymczasem zajął się kolega mój i przyjaciel Mirza-Dawidowicz, syn Mirzy-Dawidowicza, obywatela i sąsiada mojego ojca, z pochodzenia Tataru i mahometanina, ale z rodziny z dziada pradziada osiadłej u nas i od dawnego czasu posiadającej obywatelstwo i szlachectwo tutejsze. Musiałem się razem z Ustrzyckimi, Hania zaś zabrała się z panią d'Yves i z młodym Dawidowiczem do innych sani. Widziałem, jak poczciwy chłopczysko otulał ją własnym futrem, potem wziął od woźnicy lejce, krzyknął na konie i pomknęli jak wicher. Po powrocie do domu Hania poszła płakać do pokoiku dziadka, ja zaś nie mogłem za nią pospieszyć, bo wraz z księdzem Ludwikiem musieliśmy przyjmować gości.

Wreszcie rozjechali się wszyscy, został tylko Mirza-Dawidowicz, który miał przepędzić u nas resztę świąt Bożego Narodzenia, trochę się ze mną uczyć, bo byliśmy obaj w siódmej klasie i czekał nas egzamin maturitatis, ale więcej jeździć konno, strzelać do celu z pistoletów, fechtować się i polować, które to zajęcia obydwoj przekładaliśmy o wiele niż tłumaczenie *Annalów* Tacyta i Ksenofontową *Cyropajdeję*. Ten Mirza był wesoły chłopak, urwis i psotnik wielki, zapalczywy jak iskra, ale do najwyższego stopnia sympatyczny. U nas

w domu lubili go wszyscy bardzo prócz ojca mego, którego gniewało to, że młody Tatar strzelał i fechtował się lepiej ode mnie. Za to pani d'Yves przepadała za nim, bo gadał po francusku jak paryżanin, usta mu się nie zamykały, plótł, dowcipkował i bawił Francuzkę lepiej od nas wszystkich.

Książdz Ludwik znowu miał trochę nadziei, że go nawróci na religię katolicką, tym bardziej że chłopiec żartował sobie czasami z Mahometa i pewno byłby chętnie *Koran* porzucił, gdyby nie to, że bał się ojca, który ze względu na tradycje rodzinne trzymał się oburącz mahometanizmu, powtarzając, że jako stary szlachcic woli być starym mahometaninem niż świeżym katolikiem. Zresztą nie miał stary Dawidowicz innych tureckich lub tatarskich sympatii. Przodkowie jego osiedli tu od czasów pono Witoldowych. Była to szlachta również zamożna bardzo i od dawna w jednym gnieździe osiadła. Majątki, które posiadali, nadał jeszcze Jan Sobieski Mirzie-Dawidowiczowi, pułkownikowi lekkiej chorągwi petyhorskiej, który cudów dokazywał pod Wiedniem, a którego portret wisiał jeszcze w Chorzelach. Pamiętam, że portret ten dziwne na mnie robił wrażenie. Pułkownik Mirza był to człek straszny; twarz jego była tak popisana Bóg wie jakimi szablami, jakby tajemniczymi literami *Koranu*. Płeć miał śniadą, policzki wystające, oczy skośne o dziwnie ponurym blasku, które miały tę własność, że z portretu patrzyły na ciebie zawsze, czyś stanął wprost, czy z któregoś boku. Ale kolega mój, Selim, w niczym nie był do przodków swych podobny. Matka jego, z którą stary Dawidowicz ożenił się w Krymie, nie była Tatarką, ale pochodziła z Kaukazu. Ja nie pamiętałem jej, ale wiem, że mówiono, iż była to piękność nad piękności i że młody Selim jak dwie krople wody do niej podobny.

Ach! cudny był chłopak ten Selim! Oczy jego miały już zaledwie dostrzegalny skośny kierunek. Nie były to jednak oczy tatarskie, ale wielkie, czarne, smutne i łzawe oczy, jakimi podobno odznaczają się Gruzinki. Oczu, obdarzonych taką niewypowiedzianą słodyczą, gdy były spokojne, nie widziałem jak żyję i nie zobaczę więcej. Gdy Selim o co prosił, a spojrzał tymi oczyma na człowieka, to zdawało się, że brał go wprost za serce. Rysy miał regularne, szlachetne, jakby spod rzeźbiarskiego dłuta wyszłe, płeć smagłą, ale delikatną, wypukłe trochę, czerwone jak malina usta, słodki uśmiech i zęby jak perły. Gdy jednak Selim pobił się, na przykład, z kolegą, co zdarzało się dość często, wtedy ta jego słodycz zniknęła jak zwodnicza mara; stawał się prawie straszny: oczy zdawały się mu w ukos wyciągać i świeciły jak u wilka; żyły wyprężyły się na twarzy; płeć ciemniała i budził się w nim na chwilę prawdziwy Tatar, taki, z jakimi chodzili w taniec nasi przodkowie. Trwało to jednak krótko. Po chwili Selim płakał, przeproszał, całował i wybaczano mu zwykle. Serce miał jak najlepsze, skłonność do szlachetnych porywów wielką. Był jednak roztrzepany, trochę

lekkomyślny i hulaka niepohamowanego temperamentu. Jeździł konno, strzelał i fechtował się jak mistrz; uczył się średnio, bo mimo wielkich zdolności trochę był próżniak. My obaj kochaliśmy się jak bracia, czubili często, godzili równie często i przyjaźń trwała niepożyta. Na wakacje i wszystkie święta połowę czasu ja przepędzałem w Chorzelałach albo on u nas. Jakoż i teraz, przyjechawszy z pogrzebu Mikołaja, miał już u nas pozostać do końca świąt Bożego Narodzenia.

Gdy tedy goście rozjechali się po obiedzie, była godzina może czwarta po południu. Krótki dzień zimowy kończył się; przez okna zaglądała wielka zorza wieczorna; na stojących pod oknami drzewach, pokrytych śniegiem i oblanych czerwonym blaskiem, poczęły łopotać i krakać wrony. Przez okna widać było całe ich stada, ciągnące nad stawem od boru i pływające się w świetle wieczornym. W sali, do której przeszliśmy po obiedzie, panowało milczenie. Pani d'Yves poszła do swego pokoju układać, jak zwykle, kabałę; ksiądz Ludwik chodził wzdłuż komnaty miarowym krokiem i zażywał tabakę; dwie moje małe siostrzyczki przewracały się pod stołem na dywanie i trykając się główkami, plątały sobie wzajemnie złote pukle włosków; Hania zaś, ja i Selim, siedząc pod oknem na kanapce, poglądaliśmy na staw od strony ogrodu, na bór za stawem i na niknący blask dzienny. Wkrótce zrobiło się zupełnie szaro. Ksiądz Ludwik wyszedł odmawiać pacierze, jedna moja siostrzyczka pogoniła za drugą do przyległego pokoju; zostaliśmy sami.

Selim począł już coś gwarzyć i szczebiotać, gdy Hania przysunęła, się do mnie nagle i wyszeptwała:

– Paniczu, mnie czegoś straszno: ja się boję.

– Nie bój się, Haniulko – odpowiedziałem, przyciągając ją do siebie. – Przytul się do mnie: ot tak. Póki jesteś przy mnie, nic ci się złego stać nie może. Patrz, ja się nie boję niczego i zawsze potrafię cię obronić.

Była to nieprawda, bo czy to z powodu mroku, pokrywającego salę, czy skutkiem słów Hani i niedawnej śmierci Mikołaja, i ja byłem pod jakimś dziwnym wrażeniem.

– Może każesz przynieść światło? – spytałem.

– Dobrze, paniczu.

– Mirza, każ Frankowi podać światło.

Mirza skoczył z kanapki i wkrótce za drzwiami posłyszeliśmy niezwykle tupotanie i hałas. Drzwi się otworzyły z trzaskiem i wpadł jak wicher Franek, a za nim trzymający go za ramiona Mirza. Franek miał minę ogłupiałą i przestraszoną, bo Mirza, trzymając go za ramiona, kręcił nim jak frygą i sam się obracał z nim razem. Po czym przywiódłszy go tym ruchem aż do kanapki, zatrzymał się i rzekł:

– Pan każe ci przynieść światło, bo panienska się boi. Co wolisz, czy przynieść światło, czy żebym ci głowę ukrecił?

Franek poszedł po lampę i wrócił z nią za chwilę; ale pokazało się, że światło razi zapłakane oczy Hani, więc Mirza je zgasił. Zostaliśmy znów pogrążeni w tajemniczym mroku i znów zapanowało między nami milczenie. Teraz księżyc rzucał jasne, srebrne światło przez okna. Hania widocznie bała się, bo przytuliła się do mnie jeszcze mocniej, a przy tym musiałem ją trzymać za rękę. Mirza siadł naprzeciw nas na krześle i wedle swego zwyczaju, od hałaśliwego usposobienia przeszedł w zadumę i po chwili rozmarzył się jakoś. Cisza panowała między nami wielka, było nam trochę straszno, ale dobrze.

– Niech Mirza opowie nam jaką bajkę – rzekłem. – On tak ślicznie opowiada. Dobrze, Haniu?

– Dobrze – odpowiedziała dziewczynka.

Mirza podniósł w górę oczy i zamyślił się trochę. Księżyc oświecał jasno jego śliczny profil. Po chwili zaczął opowiadać swoim drgającym, sympatycznym, a przyciszonym głosem:

– Za lasami, za górami, żyła w Krymie pewna dobra wróżka, imieniem Lala. A raz przejeżdżał koło jej chaty sułtan, który nazywał się Harun i który był bardzo bogaty: miał pałac z koralami z diamentowymi kolumnami, dach na tym pałacu był z pereł, pałac był tak wielki, że trzeba było iść rok, żeby go przejść od końca do końca. Sam sułtan w zawoju nosił prawdziwe gwiazdy, zawój był z promieni słonecznych, na wierzchu zawoju był sierp księżycy, który pewien czarownik od księżycy odciął i sułtanowi podarował. Przejeżdża tedy ten sułtan koło wróżki Lali i płacze, ale tak płacze, tak płacze, że łzy padają na drogę, a gdzie łza padnie, tam wyrasta zaraz lilia biała. „Czego płaczesz, sułtanie Harunie?” – pyta go wróżka Lala. „Jakże nie mam płakać – mówi sułtan Harun – kiedy mam tylko jedną córkę, piękną jak zorza poranna, i muszę ją oddać czarnemu Dewswi o ognistych oczach, który co rok...”

Mirza urwał nagle i umilkł.

– Śpi Hania? – wyszeptał do mnie.

– Nie, nie śpię – odpowiedziała sennym głosem dziewczynka.

– „Jakże nie mam płakać – mówi do niej sułtan Harun (ciągnął Mirza) – kiedy mam tylko jedną córkę, którą muszę oddać Dewswi.” „Nie płacz, sułtanie – mówi Lala – siądź na skrzydlatego konia i jedź aż do groty Borach. Złe obłoki będą cię gonić po drodze, ale ty rzuć na nie tymi oto ziarnkami maku i obłoki usną zaraz...”

I tak dalej opowiadał Mirza, a potem urwał znowu i spojrzął na Hanię. Dziecina spała teraz rzeczywiście. Zmęczona była bardzo i zboląta, więc zasnęła mocno. Obaj z Selimem nie śmieliśmy prawie oddychać, żeby jej nie obudzić. Oddech jej był równy, spokojny, przerywany tylko czasem głębokimi westchnieniami. Selim podparł ręką czoło i zamyslił się głęboko, ja zaś podniosłem oczy w niebo i zdawało mi się, że na skrzydłach aniołów ulatuję w niebieskie przestworza. Nie umiem wypowiedzieć słodczy, jaka przejmowała mnie całego, gdym czuł, że ta droga, maleńka istota śpi spokojnie i z całym zaufaniem na mojej piersi. Jakieś drzenie przejmowało mnie całego; jakieś niezziemskie, nowe, a nieznane głosy szczęścia rodziły mi się w duszy i poczęły śpiewać i grać jak kapela. Ach! jakże kochałem Hanię! Jak ją kochałem miłością brata i opiekuna jeszcze, ale bez granic i miary.

Zbliżyłem cicho usta do warkocza Hani i ucałowałem go. Nie było w tym nic ziemskiego, bo ja i pocałunek byliśmy jeszcze jednakowo niewinni.

Mirza wzdrygnął się nagle i obudził z zadumy.

– Jakiś ty szczęśliwy, Henryku! – wyszeptał.

– Tak, Selimie.

Nie mogliśmy jednak wiecznie tak pozostawać.

– Nie budźmy jej i przenieśmy ją do jej pokoju – rzekł do mnie Mirza.

– Ja ją sam przeniosę, a ty tylko otwieraj drzwi – odpowiedziałem mu na to.

Wysunąłem delikatnie ramię spod główki śpiącej, główkę zaś oparłem na kanapie. Po czym ostrożnie wziąłem Hanię na ręce. Byłem jeszcze dzieciak, ale pochodziłem z rodu ludzi nadzwyczaj silnych; dziecina zaś była drobna i wiotka, więc uniosłem ją jak piórko. Mirza otworzył drzwi do przyległego, oświetlonego pokoju i w ten sposób dotarliśmy aż do zielonego gabinetu, który przeznaczyłem na mieszkanie Hani. Łóżeczko było już tam posłane; na kominku trzaskał obfity ogień, a pod kominkiem siedziała, grzebiąc w węglach, stara Węgrowska, która ujrawszy mnie obciążonego w ten sposób, zawołała:

– A olaboga! a toć paniczyk podźwiga się dziewczyną. Nie można to było jej obudzić, żeby sama przyszła?

– Niech Węgrosia cicho będzie! – zawołałem gniewnie. – Panienska, nie „dziewczyna”, mówię, tylko panienska; czy Węgrosia słyszy? panienska zmęczona. Proszę jej nie budzić. Rozebrać i położyć cicho w łóżeczko. Niech Węgrosia pamięta, że to sierota i że dobrocią trzeba ją pocieszyć po dziadku.

– Sierota, niebożatko, juści że sierota – jęła zaraz powtarzać z rozrzewnieniem pocziwa Węgrowska.

Mirza pocałował za to babinę, po czym wróciliśmy na herbatę.

Mirza rozszalał się przy herbacie, zapomniawszy o wszystkim, ja jednak nie wtórowałem mu; raz, że byłem smutny, a po wtóre, sądziłem, iż człowiekowi poważnemu, który już jest opiekunem, nie wypada dokazywać jak dzieciakowi. Tego wieczora Mirza oberwał jeszcze burę od księdza Ludwika za to, że podczas gdy mówiliśmy pacierze w kaplicy, on wyleciał na podwórze, wlaź na niski dach od lodowni i począł wyć. Psy podwórzowe oczywiście zleciały się ze wszystkich stron i uczyniły taki harmider wtórzac Mirzie, że nie mogliśmy mówić pacierza.

– Czyś ty oszalał, Selimie? – pyta ksiądz Ludwik.

– Ja, proszę księdza, modliłem się po mahometańsku.

– A ty, smarkaczu! nie żartuj sobie z religii żadnej.

– A kiedy ja, proszę księdza, chcę zostać katolikiem, tylko się ojca boję. Co ja tam sobie robię z Mahometa!

Ksiądz, uderzony w słabą strunę, zamilkł i poszliśmy spać. Mnie i Selimowi dano osobny pokój, bo ksiądz wiedział, że lubimy gawędzić, a nie chciał nam przeszkadzać. Kiedym się już rozebrał i zauważyłem, że i Mirza poczyna toż samo czynić bez pacierza, spytałem:

– Czy ty, Selimie, rzeczywiście nie modlisz się nigdy?

– A jakże. Chcesz, to zaraz zacznę.

I stanąwszy w oknie, wznosił oczy na księżyc, wyciągnął do niego ręce i począł wołać śpiewnym głosem:

– O Allah! Akbar Allah! Allah *Kerim!*

Ubrany już tylko w bieliznę, z tymi oczyma wzniesionymi ku niebu śliczny był taki, że nie mogłem od niego wzroku oderwać. Po czym zaczął mi się tłumaczyć:

– Co ja zrobię? – mówił. – Ja w tego naszego proroka, co innym nie pozwalał mieć więcej jak jedną żonę, a sam miał ich tyle, ile mu się podobało, nie wierzę. Przy tym, mówię ci, że lubię wino. Nikim innym jak mahometaninem być mi nie wolno, ale ja w Boga przecie wierzę i nieraz modlę się, jak umiem. Czy ja co wiem wreszcie? Wiem, że jest Pan Bóg, i kwita.

A po chwili już zaczął mówić co innego.

– Wiesz co, Henryk?

– Co?

– Mam pyszne cygara. Nie jesteśmy już dzieci: możemy palić.

– Dawaj.

Mirza wyskoczył z łóżka i wyjął paczkę cygar. Zapaliliśmy je pokładłszy się obaj i paliliśmy w milczeniu, spluwając tylko w sekrecie jeden przed drugim za łóżka.

Po chwili Selim ozwał się:

– Wiesz co, Henryku? Jak ja tobie zazdroszczę. Ty to już jesteś naprawdę dorosły.

– Spodziewam się.

– Bo jesteś już opiekunem. Ach! żeby tak kto i mnie zostawił kogo na opiekę.

– Nie tak to łatwo, a zresztą, skąd by się wzięła druga taka Hania na świecie. Ale wiesz co?

– mówiłem dalej tonem dorosłego sensata – wiesz co, ja spodziewam się, że nawet już do szkół nie pójdę. Człowiek, który ma takie obowiązki w domu, nie może chodzić do szkół.

– I... bredzisz. Cóż to, nie będziesz się nic więcej uczył? A Szkoła Główna?

– Przecie mnie znasz, że uczyć się lubię, ale obowiązek przede wszystkim. Chyba, że rodzice pošlą ze mną Hanię do Warszawy.

– Ani im się będzie śniło.

– Póki jestem w klasach, to pewno, że nie, ale jak zostanę akademikiem, to mi ją oddadzą. Cóż to, ty nie wiesz co to znaczy akademik?

– Ba! ba! A może być. Będziesz się nią opiekował, a potem się z nią ożenisz.

Aż siadłem na łożku.

– Mirza, czyś ty oszalał?

– A dlaczegooby nie. W klasach to się człowiekowi ożenić nawet nie wolno, ale akademikowi wolno. Akademik to nie tylko żonę mieć może, ale nawet i dzieci. Ha! ha!

Ale w tej chwili prerogatywy i wszelkie przywileje akademickie nie obchodziły mnie ani trochę. Pytanie Mirzy rozświeciło, niby błyskawicą, te strony serca mojego, które i dla mnie były jeszcze ciemne. Tysiące myśli, niby tysiące ptaków, przeleciało mi nagle przez głowę. Ożenić się z moją drogą, ukochaną sierotką, tak! to była błyskawica, nowa błyskawica myśli i uczuć. Zdawało mi się, że nagle w ciemność mego serca ktoś wniósł światło. Miłość, lubo głęboka, ale braterska dotąd, poróżnowiała nagle od tego światła i ogrzała się od niego nieznanym ciepłem. Ożenić się z nią, z Hanią, z tym jasnowłosym aniołkiem, z moją najdroższą, najukochańszą Hanią... Słabym już i cichszym głosem powtórzyłem, jak echo, poprzednie pytanie:

– Mirza, czyś ty oszalał?

– Założyłbym się, że się już w niej kochasz – odparł Mirza.

Nie odrzekłem nic, zgasilem światło, potem porwałem róg poduszki i począłem go całować.

Tak! już ją kochałem.

III

Drugiego czy trzeciego dnia po pogrzebie przyjechał wezwany telegramem mój ojciec. Drżałem, żeby nie odwołał moich względem Hani rozporządzeń, i przecucia moje spełniły się do pewnego stopnia. Ojciec pochwalił mnie i uściskał za gorliwość i sumienność w spełnianiu obowiązków; cieszyło go to widocznie. Powtórzył nawet kilkakrotnie: „Nasza krew!”, co powtarzał wtedy tylko, kiedy był bardzo ze mnie kontent; nie domyślił się wcale, o ile ta gorliwość była już interesowną, ale rozporządzenia moje niezbyt mu się podobały. Być może, że przyczyniły się do tego trochę zbyt przesadzone opowiadania pani d’Yves, choć rzeczywiście w ostatnich dniach po owej nocy, w której uczucia moje doszły do świadomości, uczyniłem z Hani pierwszą osobę w całym domu. Również nie podobał mu się projekt kształcenia, tak jak miały się kształcić moje siostry.

– Nie odwołuję i nie cofam nic. To rzecz twojej matki – mówił do mnie. – Ona postanowi, co zechce. To jej wydział. Ale warto się zastanowić, jak będzie lepiej dla samej dziewczyny.

– A wszakże ukształcenie, mój ojczu, nie zaszkodzi nigdy. Sam nieraz z twoich ust to słyszałem.

– Tak, w mężczyźnie – odpowiedział – bo mężczyźnie ukształcenie daje pozycję, ale z kobietami inna rzecz. W kobiecie wykształcenie powinno być zastosowane do pozycji, jaką ona w przyszłości ma zająć. Taka dziewczyna nie potrzebuje innego jak średniego wykształcenia; nie potrzebuje francuszczyzny, muzyki i tym podobnie. Ze średnim wykształceniem Hania prędzej sobie znajdzie męża, jakiegoś uczciwego oficjalistę...

– Ojczu!

Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Co tobie jest?

Byłem czerwony jak burak. Krew mało mi nie wytrysła z twarzy. W oczach zrobiło mi się ciemno. Zestawienie Hani z oficjalistą wydało mi się takim bluźnierstwem wobec świata moich marzeń i nadziei, że nie mogłem powstrzymać krzyku oburzenia. A bluźnierstwo owo

zabolało mnie tym bardziej, że wyszło z ust ojca. Było to pierwsze oblanie zimną wodą gorącej wiary młodzieńczej przez rzeczywistość, pierwszy pocisk, wymierzony przez życie w czarowny gmach złudzeń: pierwszy taki zawód i rozczarowanie, od goryczy których bronimy się pesymizmem i niewiarą. Ale jak rozpalone żelazo, gdy upadnie nań kropla zimnej wody, syknie tylko i wnet w parę i nicość ją zamieni, tak i gorąca dusza ludzka. Pod wpływem pierwszego dotknięcia zimnej dłoni rzeczywistości syknie wprawdzie z bólu, lecz wnet i samą rzeczywistość własnym żarem ogrzewa.

Słowa ojca więc zraniły mnie na razie, i to zraniły mnie w dziwny sposób, bo pod wpływem ich uczułem urazę nie do ojca, ale jakby do Hani; wkrótce jednak, mocą owego wewnętrznego oporu, jaki ma się tylko w latach młodzieńczych, wyrzuciłem je jak najdalej z duszy i na zawsze. Ojciec uniesienia mego nic nie zrozumiał i przypisał je zbytniemu przejściu się powierzonymi mi obowiązkami, co zresztą w moim wieku było naturalnym, a co, zamiast rozgniewać, pochlebilo mu tylko i osłabiło jego niechęć do wyższego kształcenia Hani. Umówiłem się z ojcem, że napiszę list do matki, która przez długi czas jeszcze miała bawić za granicą, i poproszę jej, aby wydała ostateczne w tym względzie postanowienie. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek napisał list równie długi i równie serdeczny. Opisałem w nim matce śmierć starego Mikołaja, jego ostatnie słowa, moje pragnienia, obawy, nadzieje; poruszyłem strunę litości, tak żywo zawsze drgającą w jej sercu, odmalowałem niepokój sumienia, jaki oczekiwałby mnie niezawodnie, gdybyśmy dla Hani nie uczynili wszystkiego, co leży w naszej mocy; słowem, wedle mego ówczesnego zdania list mój był prawdziwym w swoim rodzaju arcydziełem które musiało wyrzucić swój skutek. Uspokojony tym cokolwiek, oczekiwałem cierpliwie odpowiedzi, która nadeszła aż w dwóch listach; w jednym do mnie, w drugim do pani d'Yves. Wygrałem bitwę na wszystkich punktach. Matka moja nie tylko że zgodziła się na wyższe kształcenie Hani, ale jak najusilniej je polecała. „Pragnęłabym (pisała moja dobra matka), aby jeżeli się to z wolą ojca zgadza, Hania uważana była pod każdym względem jako należąca do naszej rodziny. Winniśmy to pamięci starego Mikołaja, jego dla nas sercu i poświęceniom.” Triumf mój tedy był zarówno wielki, jak zupełny, a dzielił go ze mną całym sercem Selim, którego wszystko, co tyczyło Hani, obchodziło tak, jak gdyby sam był jej opiekunem.

Co prawda, nawet ta sympatia, jaką czułem, i troskliwość, jaką okazywał dla sierotki, poczynały mnie trochę gniewać, tym bardziej że od owej pamiętnej dla mnie nocy, w której doszedłem do świadomości własnych uczuć, stosunki moje z Hanią odmieniły się znacznie. Czułem się z nią jakby złapanym. Owa serdeczność i dziecinna poufałość z mojej strony znikła zupełnie. Zaledwie kilka dni temu dziewczynka usnęła spokojnie na mej piersi; na

samą myśl o tym włosy jeżyły mi się na głowie. Przed kilku dniami na dzień dobry i dobranoc całowałem jak brat blade jej usteczka, teraz dotknięcie jej ręki paliło mnie, lubo przejmowało rozkosznym drżeniem. Poczynałem ją czcić tak, jak zwykle się czci przedmiot pierwszej miłości, a gdy dziewczeczka niewinna, nie domyślająca się niczego i nie wiedząca o niczym, garnęła się po dawnemu do mnie, gniewałem się w duszy i na nią, siebie zaś poczytywałem za świętokradcę.

Miłość przyniosła mi nie znane szczęście, ale i nie znane umartwienia. Gdybym miał być powierzyć komu moje umartwienia, gdybym mógł być popłakać czasem na czyjej piersi, do czego, mówiąc nawiasem, miałem nieraz dziwną ochotę, byłbym połowę ciężaru zdjął niezawodnie z duszy. Mogłem wprawdzie wyznać wszystko Selimowi, ale obawiałem się jego usposobienia. Wiedziałem, że w pierwszej chwili odczuje całym sercem moje słowa, ale któż mi mógł zaręczyć, czy na drugi dzień nie wyśmieje mnie z właściwym sobie cynizmem i lekkomyślnymi słowy nie pokala mego ideału, którego żadną myślą płochą dotknąć nie śmiałem. Charakter miałem zawsze dość zamknięty w sobie, a przy tym między mną a Selimem była jedna wielka różnica. Oto ja zawsze byłem trochę sentymentalny, Selim nie miał w sobie za grosz sentymentalizmu. Ja mogłem kochać tylko na smutno, Selim tylko na wesoło. Ukrywałem więc swoją miłość przed wszystkimi, prawie że i przed sobą samym, i istotnie nikt jej nie dostrzegł. W kilka dni, nigdy nie widząc żadnych wzorów, nauczyłem się instynktem pozorować wszystkie tej miłości objawy: często trafiające mi się pomieszanie, rumieńce, jakimi oblewałem się, gdy Hanię przy mnie wspomniano; słowem rozwinąłem niepomierłą chytrą; tę chytrą, z pomocą której nieraz szesnastoletni chłopak potrafi wywieść w pole najbaczniejsze, czuwające nad nim oko. Hani wyznawać moich uczuć nie miałem najmniejszego zamiaru. Kochałem ją i dość mi było tego. Czasem tylko, gdyśmy pozostawali sami, popychało mnie coś, żeby na przykład klęknąć przed nią lub ucałować brzeżek jej sukienki.

Selim tymczasem wariował, śmiał się, dowcipkował i był wesoły za nas obojgu. On to pierwszy wywołał uśmiech na twarzy Hani, gdy pewnego razu przy śniadaniu zaproponował księdzu Ludwikowi, by przeszedł na mahometańską wiarę i ożenił się z panią d'Yves. Obrażliwa dosyć Francuzka i ksiądz nawet gniewać się nie mogli, bo jak się przymilił do niej, jak spojrział swymi oczyma i się uśmiechnął, tak skończyło się wszystko na lekkim połajaniu i wzajemnym śmiechu. W postępowaniu jego z Hanią znać było pewną czułość i troskliwość, ale i w tym stosunku przemagała wrodzona mu wesołość. Był z nią o wiele poufalszy niż ja. Widać było, że i Hania lubi go bardzo, bo ile razy wchodził do pokoju, tyle razy stawała się

weselszą. Ze mnie, a raczej z mojego smutku, żartował sobie ustawicznie, biorąc go za sztuczną powagę człowieka, któremu gwałtem chce się być dorosłym.

– Obaczycie wszyscy, że on księdzem zostanie – mówił.

Wówczas ja puszczałem pierwszy lepszy przedmiot, aby schyliwszy się po niego, pokryć rumieńce, jakie były mi na twarzy; ksiądz Ludwik zaś zażywał tabaki i odpowiadał:

– Na chwałę Bożą, na chwałę Bożą!

Ale tymczasem skończyły się święta Bożego Narodzenia.

Moje słabe nadzieje, że zostanę już w domu, nie sprawdziły się ani trochę. Wielkiemu opiekunowi oświadczono pewnego wieczora, aby nazajutrz rano gotów był do drogi. Potrzeba było jechać rano, bo musieliśmy jeszcze wstąpić do Chorzel, gdzie Selim miał się pożegnać ze swoim ojcem. Jakoż wstaliśmy o szóstej godzinie, jeszcze po ciemku. Ach! dusza moja była tak ponurą wówczas, jak ów ranek zimowy, ciemny i wietrzny. Selim był także w jak najgorszym humorze. Zaraz wylazłszy z łóżka oświadczył, że świat jest głupi i jak najędzniej urządzony, na co zgodziłem się zupełnie; po czym obaj, ubrawszy się, udaliśmy się ze stacji do dworu na śniadanie. Na dworze było ciemno, drobne płatki ostrego śniegu kręczone wichrem uderzały o nasze twarze. Okna sali jadalnej były już oświecone. Przed gankiem stały zaprzężone sanki, na które znoszono nasze rzeczy; konie potrzasały dzwoneczkami, psy szczekały koło sani: wszystko to razem wzięte stanowiło, dla nas przynajmniej, tak posępny obraz, że aż serce ścisnęło się na jego widok. Wszedłszy do jadalnego pokoju zastaliśmy ojca i księdza Ludwika, obu chodzących z poważnymi twarzami, Hani zaś nie było. Z bijącym sercem doglądałem na drzwi zielonego gabinetu, czy też nie wyjdzie, czy odjadę nawet bez pożegnania. A tymczasem ojciec z księdzem Ludwikiem poczęli dawać nam rady i prawić morały. Obaj zaczęli od tego, że jesteśmy już w tym wieku, iż nie potrzeba nam powtarzać, co znaczy praca i nauka, a jednak obaj nie mówili o czym innym. Słuchałem tego wszystkiego piąte przez dziesiąte, gryząc grzanki i połykając ze ściśniętym gardłem ciepłą polewkę winną. Nagle serce zabiło mi tak silnie, że ledwie mogłem usiedzieć na krześle, bo w pokoiku Hani usłyszałem jakiś szelest. Otworzyły się drzwi i weszła... ubrana w ranny szlafroczek i w papiloty – pani d'Yves, która uściskała mnie czule, a której za zawód, jakiego doznałem, miałem ochotę rzucić szklanę z polewką na jej głowę. I ona także wyraziła nadzieję, że tak słuszna młodzież będzie się pewno uczyć doskonale, na co Mirza odpowiedział, że pamięć jej papilotów doda mu sił i wytrwania w pracy; Hania tymczasem nie pokazywała się.

Nie było mi jednak przeznaczonym wychylić ten kielich goryczy aż do dna. Gdy wstaliśmy od śniadania, Hania wyszła z gabinetu, zaspana jeszcze, cała różowa, z

potarganymi włosami na główce. Gdy uściśnąłem ją za rękę na dzień dobry, ręka ta była gorąca. Zaraz przyszła mi do głowy myśl, że Hania ma gorączkę z powodu mego wyjazdu i odegrałem w duszy czułą scenę, ale było to po prostu ze snu. Po chwili ojciec z księdzem Ludwikiem poszli po listy, aby je nam oddać do Warszawy, Mirza zaś wyjechał za drzwi na ogromnym psie, który przed chwilą wszedł do pokoju. Zostałem z Hanią sam na sam. W oczach kręciły mi się łzy, z ust wydzierały mi się gwałtem czułe i gorące słowa. Nie miałem zamiaru wyznać, że ją kocham, ale parło mnie, żeby jej powiedzieć coś takiego, jak: „Moja droga, ukochana moja Haniu!”, i ucałować przy tym jej rękę. Była to jedyna sposobna chwila do takiego wybuchu, bo przy ludziach, choć mogłem to uczynić bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi, ale bym nie śmiał. Chwilę tę jednak zmarnowałem najhaniebniej. Już, już zbliżyłem się do niej, już wyciągnąłem ku niej rękę, ale uczyniłem to jakoś niezgrabnie i nienaturalnie, takim nieswoim głosem wyrzekłem: „Haniu!”, że cofnąłem się natychmiast i umilkłem. Miałem ochotę się spoliczkować. Tymczasem sama Hania zaczęła:

- Mój Boże! jak to smutno będzie bez panicza!
- Przyjadę na Wielkanoc – odpowiedziałem szorstko, niskim, nieswoim basem.
- A do Wielkanocy tak daleko.
- Wcale niedaleko – mruknąłem.

W tej chwili wpadł Mirza, a za nim ojciec mój, ksiądz Ludwik, pani d’Yves i jeszcze kilkoro ludzi. Wyrazy: „Siadać! siadać!”, zabrzmiały mi w uszach. Wyszliśmy wszyscy na ganek. Tu ojciec, ksiądz Ludwik brali mnie po kolei w ramiona. Gdy przyszła kolej żegnania się z Hanią, miałem niepohamowaną ochotę porwać ją w objęcia i ucałować po dawnemu, ale nie zdobyłem się i na to.

– Bądź zdrowa, Haniu – rzekłem, podając jej rękę, a w duszy płakało mi sto głosów i sto najczulszych pieśczonek wyrazów na ustach.

Nagle spostrzegłem, że dziewczynka płacze i również nagle ozwał się we mnie ten przekorny szatan, ta niepohamowana chęć do rozdrapywania ran własnych, jakiej nieraz doświadczyłem później w życiu; więc choć serce pękało w kawałki, odezwałem się zimno i szorstko:

- Nie rozczulajże się bez powodu, moja Haniu – to rzekłszy siadłem do sanek.

Tymczasem Mirza żegnał się ze wszystkimi. Przybiegłszy do Hani, porwał jej obie ręce i mimo że dziewczynka się wydzierała, począł całować zapamiętale to jedną, to drugą. Ach! jakąż miałem ochotę wybić go w tej chwili. Wycalowałwszy Hanię, wskoczył do sanek. Ojciec krzyknął: „Ruszaj!” Ksiądz Ludwik począł żegnać nas krzyżykiem na drogę. Furman

krzyknął: „Hetta! ho!”, na konie; zabręczały dzwonki, zaszumiał śnieg pod płozami i ruszyliśmy w drogę.

„Łotrze! rozbójniku! – zacząłem wołać na się w duszy. – Tak to pożegnałeś swoją Hanię! dokuczyłeś jej, połajaleś za łzy, których jesteś niewart... za łzy sieroce...”

Podniosłem kołnierz od futra i rozplakałem się sam jak małe dziecko, ale cicho, bo bałem się, żeby nie schwytał mnie na płaczu Mirza; pokazało się jednak, że Mirza widział to doskonale, tylko że sam był wzruszony, więc nie powiedział mi nic na razie. Nie dojechaliśmy jeszcze jednak do Chorzel, gdy ozwał się:

– Henryk!

– Co?

– Beczysz?

– Daj mi pokój.

I znowu zapanowało między nami milczenie. Ale po chwili Mirza znów:

– Henryk!

– Co?

– Beczysz?

Nie odpowiedziałem nic; nagle Mirza pochylił się, złapał ręką śniegu, podniósł mi czapkę, rozprószył mi śnieg na głowie i przykrył ją znowu, mówiąc:

– To cię ochłodzi.

IV

Na Wielkanoc nie powróciłem do domu, bo bliski egzamin *maturitatis* stanął temu na przeszkodzie. Przy tym. ojciec mój życzył sobie, abym jeszcze przed rozpoczęciem roku uniwersyteckiego zdał egzamin wstępny do Szkoły Głównej, wiedział bowiem, że przez wakacje nie będzie mi się chciało pracować i że niezawodnie zapomnę przynajmniej połowę z tego, czegom się w szkołach nauczył. Pracowałem więc bardzo usilnie. Oprócz zwykłych godzin gimnazjalnych i pracy do egzaminu *maturitatis* braliśmy z Selimem jeszcze lekcje specjalne od młodego akademika, który, sam niedawno do Szkoły Głównej wstąpiwszy, wiedział najlepiej, czego do niej potrzeba.

Były to dla mnie czasy pamiętne, bo wtedy to runęła cała budowa moich pojęć i wyobrażeń, tak mozolnie wznoszona przez, księdza Ludwika, ojca i całą atmosferę naszego cichego gniazda. Młody akademik był wielki radykał pod każdym względem. Wykładając mi historię rzymską, tak dobrze umiał przy reformach Grakchów udzielić mi swego obrzydzenia i pogardy dla wszelkiej oligarchii, że moje arcszlacheckie przekonania rozwiały się jak dymek. Z jaką głęboką wiarą wypowiadał na przykład mój młody nauczyciel, że człowiek, który ma wkrótce zająć potężne i ze wszech miar wpływowe stanowisko studenta uniwersytetu, powinien być wolnym od wszelkich „przesądów” i nie patrzeć na nic, jak z politowaniem prawdziwego filozofa. W ogóle był zdania, że do rządzenia światem i do wywierania potężnego na całą ludzkość wpływu człowiek najzdolniejszym jest między ósmym a dwudziestym trzecim rokiem życia, później bowiem staje się zwolna idiotą, czyli konserwatystą.

O ludziach, nie będących ani studentami, ani profesorami uniwersytetu, odzywał się z litością; miał jednak pewne swe ideały, które nigdy nie schodziły z jego ust. Pierwszy raz wtedy dowiedziałem się o istnieniu Moleschotta, Buchnera, dwóch uczonych, których najczęściej cytował. Trzeba było słyszeć naszego preceptora, z jakim zapałem mówił o zdobyczach naukowych ostatnich czasów, o wielkich prawdach, które ślepa i przesądna przeszłość omijała, a które z niesłychaną odwagą najnowsi uczeni podnieśli „z pyłu zapomnienia” i ogłosili całemu światu. Wypowiadając podobne zdania, potrzasał bujną kręconą czupryną i wypalał niesłychaną ilość papierosów, zaręczając przy tym, iż taką ma już do tego wprawę, że mu wszystko jedno, czy puszczać dym nosem, czy ustami i że nie ma w Warszawie człowieka, co by się tak zaciągał. Potem zwykle wstawał, nakładał płaszcz, przy którym brakowało większej połowy guzików, i oświadczał, że się musi śpieszyć, bo ma jeszcze dziś „maleńkie spotkańko”. To mówiąc przymrużał w tajemniczy sposób oko i dodawał, że zbyt młody wiek mój i Mirzy nie pozwala mu udzielić nam bliższych o owym „spotkańku” informacji, ale że później i bez jego objaśnienia zrozumiemy, co to znaczy.

Przy tym wszystkim, co rodzicom naszym w młodym akademiku zapewne nie podobałoby się bardzo, miał on swoje prawdziwie dobre strony. Oto umiał dobrze sam to, czego nas uczył, a przy tym był to prawdziwy fanatyk nauki. Buty nosił dziurawe, płaszcz wytarty, czapkę jak stare gniazdo, grosza nigdy nie miał przy duszy, ale myśl jego nigdy nie biegła w stronę kłopotów osobistych, biedy, nędzy prawie. Żył namiętnością nauki, a o swoją osobistą dolę wesoło nie dbał. My z Mirzą uważaliśmy go za jakąś wyższą, nadprzyrodzoną istotę, za ocean mądrości, za niewzruszoną powagę. Wierzyliśmy święcie, że jeśli kto uratuje ludzkość w razie jakiegoś niebezpieczeństwa, to niezawodnie on, ów imponujący geniusz, który zresztą

i sam zapewne był tegoż zdania. Ale lgnęliśmy do jego przekonań jak na lep. Co do mnie, zachodziłem może dalej nawet niż mistrz. Było to naturalną reakcją mego dotychczasowego wychowania, a przy tym rzeczywiście młody akademik otworzył mi wrota do nieznanych światów wiedzy, wobec których kółko moich pojęć było arcyciasnym. Olśniony tymi nowymi prawdami, nie miałem czasu zbyt wiele myśli i marzeń poświęcać Hani. Z początku, zaraz po przyjeździe, nie rozstawałem się z moim ideałem. Listy, jakie otrzymywałem od niej, podsycaly ten ogień na ołtarzu mego serca, ale wobec oceanu idei młodego akademika cały nasz światek wiejski, taki cichy, spokojny, począł coraz drobnieć i zmniejszać się w moich oczach, a z nim razem nie znikła wprawdzie, ale jakby zasnęła się lekką mgłą postać Hani. Co do Mirzy, ten szedł na równi ze mną drogą gwałtownych reform, a o Hani myślał tym mniej, że naprzeciw stancji naszej było okno, w którym siadywała pensjonarka Józia. Owóz Selim począł do niej wzdychać i po całych dniach poglądali na siebie z dwóch okien jak dwa ptaki z klatek. Selim utrzymywał z niezachwianą pewnością, że „ta albo żadna”. Nieraz, bywało, położywszy się na wznak na łóżku, uczy się, uczy, a potem ciska książkę na ziemię, zrywa się, chwytając mnie i krzyczy, śmiejąc się jak wariat:

– O, moja Józio! jak ja ciebie Kocham!

– Idź do licha, Selimie – mówię mu.

– Ach! to ty, nie Józia! – odpowiedział po frantowsku Selim i powracał do książki.

Na koniec nadeszły czasy egzaminów. Zdaliśmy je, obaj z Selimem, i maturę, i wstępny uniwersytecki bardzo pomyślnie, po czym już byliśmy wolni jak ptaki, ale trzy dni jeszcze zabawiliśmy w Warszawie. Użyliśmy tego czasu na sprawienie sobie akademickich mundurów i na obchód uroczystości, którą nasz mistrz uważał za niezbędną, to jest na inauguracyjne upicie się we trzech, w pierwszym lepszym sklepie winnym.

Po drugiej butelce, kiedy i mnie, i Selimowi kręciło się już w głowie, a na policzki naszego mistrza, a obecnie kolegi, wystąpiły rumieńce, nagle niezwykle rozczulenie i skłonność do serdecznych wylewów opanowała nasze serca, mistrz zaś rzekł:

– No, wyszliście na ludzi, moje chłopaki, i świat stoi przed wami otworem. Możecie teraz bawić się, wyrzucać pieniądze, grać paniczów, kochać się, ale ja wam powiem, że to głupstwa są. Takie życie na zewnątrz, bez myśli, dla której się żyje, pracuje i walczy, to także głupstwo. Ale żeby żyć rozumnie i walczyć mądrze, potrzeba trzeźwo patrzeć na rzeczy. Co do mnie, myślę, że patrzę trzeźwo. Ja tam w nic nie wierzę, czego się sam nie dotknę, i wam radzę toż samo. Dalibóg, tyle jest dróg życia i myśli na świecie, a wszystko w takim zamięciu, że trzeba, diabeł wie jakiej głowy, żeby nie zbłądzić. Ale ja trzymam się nauki, i basta. Na fatalaszki mnie nie złapiaj; że życie jest głupie, o to nikomu butelki na łbie nie rozbiję, ale jest

wiedza. Gdyby nie to, strzeliłbym sobie w łeb. Do tego, zdaniem moim, każdy ma prawo i zrobię to niezawodnie, jak tylko w tej mierze zbankrutuję. Ale na tym się nie bankrutuje. Zawiedziesz się na wszystkim: kochasz, oszuka cię kobieta; wierzysz, nadejdzie chwila zwątpienia; a nad badaniem przewodu pokarmowego wymoczków to możesz siedzieć spokojnie do śmierci i ani się obejrzysz, jak pewnego dnia zrobi ci się głupio jakoś i jakoś ciemno, a to już i kres: klepsydra, portret w ilustracji, mniej więcej głupi życiorys, *finita commedia*! Potem już nic: daję wam na to słowo, moje pędraki. Możecie śmiało w żadne bzdurstwa nie wierzyć. Nauka, moje smyki, to grunt! A przy tym ma to wszystko jeszcze tę dobrą stronę, że zajmując się podobnymi rzeczami, możesz śmiało chodzić w dziurawych butach i sypiać na sienniku. Nie robi to ci żadnej różnicy. Rozumiecie?

– Na zdrowie i na cześć nauki! – wykrzyknął Selim, którego oczy świeciły jak węgle.

Mistrz odrzucił ręką w górę ogromną wełnistą czuprynę, wychylił kieliszek, następnie zaciągnąwszy się dymem, puścił nosem dwa jego ogromne strumienie i mówił dalej:

– Obok nauk ścisłych – Selim, tyś już urżnięty! – obok tedy nauk ścisłych, jest jeszcze filozofia i są idee. Tym się także zapelnia życie po brzegi. Ale ja wolę nauki ścisłe. Z filozofii, a zwłaszcza idealno-realnej, to powiem wam nawet, że ja sobie drwię. To jest gadanie. Goni niby za prawdą, ale goni jak pies za własnym ogonem. A i w ogóle nie cierpię gadaniny: ja lubię fakta. Z wody sera nie wyciśniesz. Co do idei, to inna rzecz. Dla nich warto łba nadstawić, ale wy i ojcowie wasi chodzicie głupimi drogami. Ja wam to powiadam. Niech żyją idee!

Wychyliliśmy znowu kieliszki. Z czupryn nam się dymiło. Ciemna izba sklepowa zdała nam się ciemniejszą jeszcze; świeca na stole paliła się mdłym światłem; dym przesłaniał ryciny zawieszane na ścianach. Za oknem na podwórzu dziad śpiewał pieśń nabożną: „święta, niebieska, Pani anielska!”, i w przestankach przegrywał smutną dziadowską melodię na skrzypcach. Dziwne uczucia napęłniły mi piersi. Wierzyłem słowom mistrza, ale czułem, że nie wypowiedział jeszcze wszystkiego, co może wypełnić życie. Czegoś mi brakło, jakieś tęskne uczucie owładnęło mną mimo woli; więc pod wpływem rozmarzenia, wina i chwilowej egzaltacji ozwałem się z cicha.

– A kobieta, panie! a kobieta kochająca, poświęcona, czy nic w życiu nie zaważy?

Selim począł śpiewać:

Kobieta zmienna jest:

Głupi, kto ufa jej!

Mistrz spojrział na mnie szczególnym wzrokiem, jak gdyby myślał o czym innym, ale wkrótce otrząsnął się i mówił:

– Oho! już pokazał koniec sentymentalnego ucha. Wiesz ty, że Selim daleko prędzej wyjdzie na ludzi niż ty. Ciebie lichy porwie. Strzeż się, strzeż się, mówię ci, żeby ci w drogę nie wlaża jaka spódniczka i nie popsuka życia. Kobieta! kobieta! (tu mistrz przymrużył wedle zwyczaju oko) znam ja trochę ten towar. Nie mogę się skarżyć, dalibóg, nie mogę się skarżyć. Ale wiem i to, że diabłu nie trzeba podawać palca, bo zaraz całą rękę porwie. Kobieta! miłość! nasze całe nieszczęście jest, że z głupstw robimy wielkie rzeczy. Chcesz się tym bawić tak jak ja, to się baw, ale życia w to nie kładź. Miejcież raz rozum i za fałszywy towar nie płaćcie dobrymi pieniędzmi. Czy myślicie, że ja narzekam na kobiety? Ani mi się śni. Owszem, ja je lubię, ale nie daję się brać na plewy własnej wyobraźni. Pamiętam, kiedyś się kochał raz pierwszy w niejakiej Loli, to myślałem, że na przykład sukienka jej to świętość, a to był perkal. Ot co! Czy ona winna, że chodziła po błocie, zamiast latać po niebie: nie! to ja, głupi, gwałtem przyprawiałem jej skrzydła. Mężczyzna jest sobie dosyć ograniczonym zwierzęciem. Nosi jeden i drugi w sercu Bóg wie jaki ideał, a że przy tym czuje potrzebę kochać, więc spotkawszy pierwszą lepszą gąskę, mówi sobie: „To ta.” Potem poznaje, że się mylił i skutkiem tej małej pomyłki lichy go bierze lub idiocieję na całe życie.

– Jednak przyznajesz pan – rzekłem – że mężczyzna czuje potrzebę kochania i sam zapewne czujesz tę potrzebę tak jak i inni.

Zaledwie dostrzegalny uśmiech przemknął po ustach mistrza.

– Każdej potrzebie – odparł – rozmaicie można zadośćuczynić. Ja sobie radzę po swojemu. Mówiłem już, że z głupstw nie robię wielkich rzeczy. Jestem trzeźwy, dalibóg, trzeźwiejszy niż teraz. Ale widziałem wielu ludzi, którym się życie porwało i poplątało jak nić dla jednej podwikipi, więc powtarzam, że całego życia kłaść w to nie warto, że są rzeczy lepsze i cele wyższe i że miłość to furda. Za zdrowie trzeźwości!

– Za zdrowie kobiet! – wykrzyknął Selim.

– Dobrze! niech będzie – odparł mistrz. – Są to przyjemne stworzenia, byle ich nie brać zbyt serio. Za zdrowie kobiet!

– Za zdrowie Józi! – krzyknąłem, trącając w kieliszek Selima.

– Czekaj! teraz na mnie kolej – odparł. – Zdrowie... zdrowie twojej Hani! Jedna warta drugiej.

Zagrała we mnie krew, a z oczu sypnęły mi się skry.

– Milcz ty. Mirza! – krzyknąłem. – Nie wymawiaj mi w knajpie tego imienia!

To mówiąc rzuciłem kieliszek o ziemię, aż prysnął na tysiąc części.

– Czyś oszalał! – zawołał mistrz.

Ale ja nie oszalałem wcale, tylko gniew we mnie kipiał i palił się jak płomień. Mogłem słuchać wszystkiego, co o kobietach mówi mistrz, mogłem nawet sobie w tym podobać, mogłem z nich drwić na równi z innymi; ale wszystko to mogłem czynić dlatego, że nie stosowałem słów i drwinek do nikogo z moich, że mi i na myśl nawet nie przyszło, by teoria ogólna do drogich mi osób miała być stosowaną. Ale usłyszawszy imię mojej przeczystej sierotki, rzucone lekkomyślnie w tej knajpie, wśród dymu, brudów, próżnych butelek, korków i cynicznej rozmowy, sądziłem, że usłyszałem tak obrzydłe świętokradztwo, takie pokalenie i taką krzywdę wyrządzoną Haniuli, iż z gniewu straciłem prawie przytomność.

Mirza przez chwilę patrzył na mnie zdumiony, lecz potem szybko i jego twarz poczęła ciemnieć, oczy skrzyć się, na czoło wystąpiły mu węzły żył, a rysy przeciągnęły się i stały ostre jak u prawdziwego Tatara.

– Ty mi bronisz mówić, co mi się podoba? – zawołał głuchym, przerywanym przez szybki oddech głosem. Na szczęście mistrz w tej chwili wpadł między nas.

– Nie godniście mundurów, które nosicie! – zawołał. – Cóż to, będziecie się bili, czy za uszy się porwiecie jak szkolne żaki? Ot filozofowie, którzy sobie szklanki o głowy rozbijają. Wstydzcie się! Wam to rozprawiać o kwestiach ogólnych! Wstydzcie się! Z walki pojęć do walki na pięści! Dalejże! a ja wam powiadam, że wnoszę toast na cześć uniwersytetów i że jesteście trutnie, jeżeli się nie trącicie zgodnie i jeżeli zostawicie choć kroplę w kieliszkach.

Ochłoneliśmy obaj. Selim jednak, choć więcej pijany, ochłonął pierwszy.

– Przepraszam cię – rzekł miękko głosem – jestem głupiec.

Uściskaliśmy się serdecznie i wychylili kieliszki do dna na cześć uniwersytetów. Potem mistrz zaintonował: *Gaudeamus*. Przez szklane drzwi, prowadzące do sklepu, kupczyki poczęli nam się przypatrywać. Na dworze zmierzchało się. Byliśmy wszyscy pijani, co się nazywa. Wesołość nasza doszła do zenitu i poczęła się zwolna załamywać. Mistrz pierwszy popadł w zadumę i po jakimś czasie rzekł:

– Wszystko to dobre, ale razem wzięwszy, życie jest głupie. To są wszystko sztuczne środki, a co tam temu w duszy się dzieje, to inna rzecz. Jutro podobne do dziś: taż sama bieda, cztery gołe ściany, siennik, dziurawe buty i... tak bez końca. Praca i praca, a szczęście... et! Człowiek się oszukuje jak może i zagłusza... Bywajcie zdrowi!

To mówiąc nałożył na głowę czapkę z oberwanym daszkiem, wykonał kilka mechanicznych ruchów, mających na celu zapięcie munduru na nieistniejące guziki, zapalił papierosa i machnąwszy ręką, rzekł:

– No! zapłaćcie tam, bom ja goły, i bądźcie zdrowi. Możecie o mnie pamiętać lub nie. Wszystko mi jedno. Ja tam nie jestem sentymentalny. Bądźcie zdrowi, moje poczciwe chłopaki...

Ostatnie słowa wyrzekł głosem wzruszonym i miękkim, jakby na przekór oświadczeniu, że nie jest sentymentalny. Biedne serce potrzebowało i było zdolne kochać, tak jak i każde inne, ale niedola od lat dziecinnych, ubóstwo i obojętność ludzka nauczyły je zamykać się w sobie. Była to dusza dumna, choć gorąca, więc pełna zawsze obawy, by jej nie odepchnięto, gdy się ku komuś pierwsza zbyt serdecznie pochyli.

Zostaliśmy przez chwilę sami i pod wpływem jakiegoś smutku. Były to może smutne przecucia, bo biednego mistrza naszego nie mieliśmy już więcej widzieć w życiu. Ani on sam, ani my nie domyślaliśmy się, że w jego piersiach tkwiły już od dawna zarody śmiertelnej choroby, na którą nie było ratunku. Bieda, zbytnie wysilenie, praca gorączkowa nad książkami, bezsenne noce i głód przyspieszyły rozwiązanie. W jesieni, na początku października, mistrz nasz umarł na suchoty. Za trumną jego niewielu nawet szło kolegów, bo były to wakacje, i tylko matka biedna, przekupka święconych obrazów i świec woskowych spod dominikańskiego kościoła, zawodziła głośno za synem, którego często nie rozumiała za życia, ale którego, jako zwyczajnie matka, kochała.

V

Na drugi dzień po owej naszej pijatyce przyszły konie od starego Mirzy z Chorzel i obaj z Selimem ruszyliśmy rankiem do domów. Mieliśmy opętane dwie doby jazdy przed sobą, toteż zerwaliśmy się o świcie. W kamienicy naszej spało wszystko jeszcze, tylko w oficynie naprzeciwko błysnęła w oknie wśród kwiatów geranium, laków i fuksji twarzyczka pensjonarki Józi. Selim, nadzieawszy na siebie torbę podróżną i akademicką czapkę, stanął w oknie gotowy już do drogi, aby dać poznać, że wyjeżdża, na co odpowiedziano mu spośród geranium melancholicznym wejrzeniem. Ale gdy jedną rękę położył na sercu, a drugą przesłał całusa, twarzyczka pomiędzy kwiatami zarumieniła się i cofnęła szybko w mroczną głąb pokoju. Na dole, na bruku podwórzowym, zaturkotała bryczka zaprzężona w cztery dzielne konie; czas było się żegnać i siadać, ale Selim czekał i stał uporczywie w oknie, czekając, czy jeszcze czego nie dojrzy. Nadzieja jednak go zawiodła i okienko pozostało puste. Dopiero gdy

zeszliśmy na dół, przechodząc koło ciemnej sieni w oficynie, ujrzelśmy na schodach dwie białe pończoszki, orzechową sukienkę, pochylony biuścik i dwoje jasnych oczu przysłoniętych ręką, wpatrujących się z pomroki w jasność dzienną. Mirza wpadł natychmiast do sieni, ja zaś, siadłszy na bryczkę, stojącą tuż obok niej, usłyszałem jakieś szepty i pewne odgłosy, bardzo podobne do odgłosów pocałunków. Po czym Wyszedł Mirza, zarumieniony, pół śmiejący się, pół wzruszony i usiadł obok mnie. Woźnica zaciął konie, mimo woli obaj z Mirzą spojrzeliśmy w okienko: twarzyczka Józi znowu świeciła między kwiatkami; chwila jeszcze: wysunęła się rączka z białą chustką; jeszcze jeden znak pożegnalny i bryczka wytoczyła się na ulicę, uwożąc mnie i śliczny ideał biednej Józi.

Ranek był wczesny bardzo, miasto jeszcze spało; różowe światło zorzy biegało po oknach uśpionych kamienic; gdzieniegdzie tylko ranny ptaszek, przechodzień, budził krokami uśpione echo; gdzieniegdzie stróż zamiatał ulicę; czasem zaturkotał wózek z warzywem, ciągnący ze wsi na targ miejski. Zresztą cicho było a jasno, a powietrzno, a rzeźwo, jako zwyczajnie w letnim poranku. Małeńka bryczuszka nasza, zaprzężona w cztery bachmaty, podskakiwała na bruku, jak ciągnięty na sznurku orzeszek. Wkrótce oblał nasze twarze rzeźwy i chłodny powiew od rzeki, zatętniał most pod kopytami koni i po półgodzinnej jeździe byliśmy za rogatkami wśród pól obszernych i zbóż, i lasów.

Szeroko piersi nasze oddychały przepyszny powietrzem poranka, a oczy pasły się okolicą. Ziemia budziła się ze snu, perlista rosa wisiała na mokrych liściach drzew i lśniła na kłosach zbóż wszelakich. W żywopłotach kręciły się wesoło ptaszki, gwarnym świergotem i ćwirkaniem witając dzień śliczny. Las i łąki wywijały się ze mgły porannej niby z pieluch; tu i ówdzie na łąkach lśniła woda, po której wśród złotych kwiatów kaczeńca brodziły bociany. Różowe dymy wychodziły prosto w górę z kominów chat wiejskich, lekki wiatr nagiął falą żółte łany dojrzałego żyta i strząsał z nich wilgoć nocną. Radość rozlana była wszędzie; zdawało się, że wszystko budzi się, żyje i że cała okolica śpiewa:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze...

Co działo się naówczas i w naszych sercach, łatwo zrozumie każdy, gdy przypomni sobie, jak za młodych lat swych wracał w taki cudny poranek letni do domu. Lata dzieciństwa i zależności szkolnej były już poza nami, rozległ się szeroko wiek młodzieńczy, niby step bujny a pełen kwiatów, o nieskończonym widnokręgu; ciekawa a nieznaną krainą, do której w podróż wyruszaliśmy pod dobrą wróżbą: młodzi, silni, prawie ze skrzydłami u ramion, jakby

orleńta. Ze wszystkich skarbów na świecie, największym skarbem jest młodość, a z tego skarbu nie wydaliśmy jeszcze przy całym bogactwie jego ani grosza.

Drogę odbywaliśmy szybko, bo na wszystkich głównych przestankach czekały na nas rozstawne konie. Drugiego dnia, po całonocnej jeździe, nad wieczorem, wyjechawszy z lasu ujrzeliśmy Chorzele, a raczej spiczasty szczyt domowego minaretu, świecący w blaskach zachodzącego słońca. Wkrótce wjechaliśmy na groblę wysadzoną wierzbami i ligustrem, po obu stronach której leżały dwa ogromne stawy z młynami i tartaki. Przeprowadzało nas senne grzechotanie i kumkanie żab, pływających się po zarosłych trawą brzegach, w ogrzanej dziennym upałem wodzie. Znać było, że dzień kłonił się ku spoczynkowi. Groblą wracały do zabudowań folwarcznych stada bydła i owiec, osłoniętych tumanami kurzu. Tu i ówdzie gromadki ludzi z sierpami, kosami i grabiami na ramionach, dążyły do domu przyśpiwując sobie: „Dana, oj dana!” Poczciwi ci ludzie zatrzymywali bryczkę, całując po rękach i witając serdecznie Selima. Wkrótce słońce pochyliło się jeszcze bardziej ku zachodowi i ukryło do połowy swą jasną tarczę za trzcinami. Tylko złocista szeroka taśma światła odbijała się jeszcze środkiem stawów, po brzegach których drzewa przeglądały się w gładkiej toni. Skręciliśmy trochę na prawo i wnet wśród lip, topoli, świerków i jesionów błysnęły białe ściany chorzelskiego dworu. Na podwórzu ozwał się dzwonek, zwołujący ludzi na wieczerzę, a jednocześnie z minaretowej wieżyczki ozwał się smętny a śpiewny głos domowego muezina, zwiastujący, że noc gwiazdzista spada z nieba na ziemię i że Allah jest wielki. Jakby do wtóru jeszcze muezinowi, bocian, stojący na kształt etruskiego dzbana w gnieździe, umieszczonym na szczycie drzewa ponad dachem dworu, wyszedł na chwilę z posągowego spokoju, podniósł dziób niby miedzianą włócznię do nieba, potem spuścił ją na pierś i zaklekotał, kiwając głową jakby na powitanie. Spojrzałem na Selima. Miał łzy w oczach, a wejrzenie jego świeciło nieporównaną, właściwą tylko jemu słodyczą. Wjechaliśmy na dziedziniec.

Przed oszklonym gankiem siedział stary Mirza i pociągając błękitny dym z cybucha, poglądał radosnym okiem na to ciche i pracowite życie, rojące się na onym wdzięcznym krajobrazie. Ujrawszy swego chłopaka, zerwał się żywo z miejsca, chwycił go w ramiona i począł długo przyciskać do piersi, bo choć surowy był dla syna, ale kochał go nad wszystko. Zaraz wypytał go o egzamina, po czym nowe nastąpiły uściski. Zbiegła się i cała liczna służba witać panicza, psy skakały radośnie wokół niego. Z ganku wypadła pędem chowana wilczyca, faworytka starego Mirzy.

– Zula! Zula! – zawołał na nią Selim, a ona skoczyła mu ogromnymi łapami na ramiona, polizala go po twarzy, a potem poczęła obiegać jak szalona naokoło, skowycząc i pokazując z radości straszliwe zęby.

Weszliśmy następnie do sali jadalnej. Poglądałem na Chorzele i na wszystko, co się w nich znajdowało, jak człowiek, który pragnie odnowienia. Nie zmieniło się w nich nic; portrety przodków Selima: rotmistrzów, chorążych wisiały jak i dawniej na ścianach. Straszliwy Mirza, pułkownik petyhorski z czasów Sobieskiego, spoglądał na mnie tak jak i dawniej skośnymi złowrogimi oczyma, ale pocięte szablami jego oblicze wydało mi się jeszcze szpetniejsze i bardziej straszne. Najbardziej zmienił się Mirza, ojciec Selima. Czupryna z czarnej stała mu się szpakowata, bujny wąs zbieleł prawie zupełnie, a typ tatarski przebijał w rysach coraz wyraźniej. Ach! jakąż różnica była między starym Mirzą a Selimem, między tym obliczem kościstym, surowym, srogim nawet, a tą twarzą po prostu anielską, podobną do kwiatu, świeżą i słodką. Ale też trudno mi istotnie opisać miłość, z jaką stary spoglądał na chłopaka i z jaką wodził oczyma za każdym jego ruchem.

Nie chcąc im przeszkadzać, trzymałem się na uboczu; ale stary, gościnnie jak prawdziwy szlachcic polski, wnet zaczął mnie podejmować i ścisnąć, i zatrzymywać na noc. Nie chciałem się zgodzić na nocleg, bo pilno mi było do domu, ale musiałem przyjąć wieczerzę. Wyjechałem z Chorzel późną nocą i kiedym się zbliżał do domu, Kurki już weszły na niebie, to się znaczy, była już północ. We wsi nie świeciły okienka, tylko z daleka pod lasem widać było światełka ze smolarni. Pod chatami czekały psy. W alei lipowej, która wiodła do naszego dworu, ciemno było, choć oko wykol; jakiś człowiek przejechał z końmi obok, zawodząc półgłosem piosnkę, ałem twarzy nie poznał. Zajechałem przed ganek dworu; w oknach było ciemno; widać spali już wszyscy; psy tylko, wypadłszy ze wszystkich stron, poczęły koło bryczki ujadać. Wysiadłem i zastukałem do drzwi; przez długi czas nie mogłem się dostukać. Zrobiło mi się przykro, sądziłem bowiem, że będą mnie oczekiwać. Po jakimś czasie dopiero światło zaczęło biegać tu i ówdzie po szybach okien, a zaspany głos, w którym poznałem głos Franka, spytał:

– Kto tam?

Ozwałem się, Franek otworzył drzwi i zaraz przypadł mi do ręki. Spytałem, czy wszyscy zdrowi.

– Zdrowi – odpowiedział Franek – ino starszy pan pojechał do miasta i dopiero jutro ma wrócić.

To mówiąc wprowadził mnie do jadalnego pokoju, zapalił lampę wiszącą nad stołem i wyszedł przyrządzać herbatę. Przez chwilę zostałem sam, z moimi myślami i z bijącym żywo

sercem: ale chwila ta krótko trwała, wkrótce bowiem nadbiegł ksiądz Ludwik w kitlu nocnym, pocziwa pani d'Yves, ubrana również w bieli, w swoich zwykłych papilotach i w czepku, i Kazio, który o miesiąc wcześniej przyjechał ze szkół na wakacje. Pocziwe serca witały mnie z rozczuleniem; podziwiano mój wzrost; ksiądz utrzymywał, żem zmężniał, pani d'Yves, żem wyładniał. Ksiądz Ludwik, biedaczysko, po niejakiem dopiero czasie zaczął mnie wypytywać nieśmiało o egzamina i o patent szkolny, a dowiedziawszy się o moich powodzeniach, aż się rozplakał tuląc mnie w objęciach i nazywając kochanym chłopakiem. A wtem z drugiego pokoju rozległ się tętent bosych nóg i wpadły dwie małe siostrzyczki w koszulkach tylko i w czepeczkach, powtarzając: „Henliś psijechal! Henliś psijechal!”, i wskoczyły mi na kolana. Na próżno pani d'Yves wstydziała je, mówiąc, że to niesłychana rzecz, żeby takie dwie panny pokazywały się ludziom w takim „dezabilu”. Dziewczynki nie pytając o nic, obejmowały mi szyję malutkimi rączkami, przytulając swoje śliczne buzie do moich policzków. Po chwili spytałem nieśmiało o Hanię.

– O! urosła! – odpowiedziała pani d'Yves – zaraz tu przyjdzie, tylko się pewno stroi.

Jakoż nie czekałem długo, bo w pięć minut może potem Hania weszła do pokoju. Spojrzałem na nią i Boże! co się z tej szesnastoletniej, wątłej i chudej sierotki zrobiło przez pół roku. Przede mną stała już prawie dorosła, a przynajmniej dorastająca panna. Kształty jej wypełniły i zaokrągliły się cudnie. Twarz miała cerę delikatną, ale zdrową, na policzkach płonęły rumieńce, jakby odbłask zorzy porannej. Zdrowie, młodość, świeżość, wdzięk biły od niej jak od róży na rozkwitaniu. Zauważyłem, że przypatrywała mi się z ciekawością swymi dużymi niebieskimi oczyma, ale widziałem także, że musiała zrozumieć mój podziw i wrażenie, jakie na mnie czyniła, bo jakiś nieopisany uśmieszek błąkał się w kącikach jej ust. W ciekawości, z jaką patrzyliśmy wzajem na siebie, tkwiła już jakaś wstydlivość młodzieńcza i dziewicza. Oho! te proste serdeczne stosunki brata i siostry, stosunki dziecinne, poszły sobie gdzieś do lasu, aby nie wrócić więcej.

Ach, jakaż ona była śliczna z tym uśmieszkiem i z cichą radością w oczach!

Światło lampy, zawieszanej nad stołem, padało na jej jasne włosy. Ubrana była w czarną sukienkę i w jakąś również czarną, włożoną naprędce narzutkę, którą przytrzymywała ręką na piersiach pod białą szyjką; ale w ubraniu tym znać było pewien wdzięczny nieład, pochodzący z pośpiechu, z jakim je na siebie kładła. Biło od niej ciepło snu. Kiedym na powitanie dotknął jej ręki, ręka ta była ciepła, miękka, aksamitna, a dotknięcie jej przejęło mnie rozkosznym drżeniem. Zmieniła się Hania zarówno wewnątrz, jak i zewnątrz. Odjechałem ją prostą dziewczynką, na wpół służebną; teraz była to panienka o szlachetnym wyrazie twarzy i szlachetnych ruchach, zdradzających dobre wychowanie i nawyknięcia

dobrego towarzystwa. Rozbudzona moralnie i umysłowo dusza przeglądała jej z oczu. Przestała być dzieckiem pod każdym względem: dowodził tego ów nieokreślony uśmiezek i pewien rodzaj niewinnej kokieterii, z jaką na mnie spoglądała, z czego znać było, że rozumie, w jak dalece odmiennym od dawnego stosunku stoimy do siebie dzisiaj. Poznałem wkrótce nawet, że miała pewną wyższość nade mną, bo ja jakkolwiek więcej ćwiczony w naukach, pod względem życiowym, pod względem rozumienia każdego położenia, każdego słowa, byłem jeszcze dość prostym chłopakiem. Hania więcej miała swobody ze mną niż ja z nią. Moja powaga opiekuna i panicza równie poszła gdzieś do lasu. Przez drogę układałem sobie, jak mam Hanię przywitać, co z nią mówić, jak być dla niej zawsze dobrym i pobłażającym, ale wszystkie te plany runęły zupełnie. Położenie jakoś tak poczęło się zaznaczać, że nie ja dla niej dobrym i łaskawym, ale raczej ona dla mnie dobrą i łaskawą być się zdawała. Na razie nie zdawałem sobie z tego jasno sprawy, ale czułem to więcej, niż rozumiałem. Układałem sobie, że będę wypytywał jej o to, czego się uczy i czego się nauczyła, jak spędzała czas, czy pani d'Yves i ksiądz Ludwik byli z niej kontenci, a tymczasem to ona, zawsze z tym uśmiezkim w kącikach ust, wypytywała mnie, com porabiał, czegom się uczył i co w przyszłości robić zamyslałem. Dziwnie się wszystko inaczej działo, niż sobie zamierzyłem. Krótko mówiąc, stosunek nasz zmieniony był na wprost odwrotny.

Po godzinnej rozmowie udaliśmy się wszyscy na spoczynek. Poszedłem do siebie trochę rozmarzony, trochę zdziwiony, trochę zawiedziony i pobity, ale przez rozmaite wrażenia. Podosycona na nowo miłość poczęła się przeciskać jak płomień przez szczeliny płonącego budynku i wkrótce pokryła owe wrażenia zupełnie. To po prostu postać Hani, ta postać dziewicza, rozkoszna, pełna uroków, tak jak ją ujrzałem nęcącą, owioniętą ciepłym snem, z białą rączką, podtrzymującą nieład ubrania na piersiach i z rozpuszczonymi warkoczami, wzburzyła moją młodą wyobraźnię i przesłoniła mi sobą wszystko.

Usnąłem z obrazem jej pod powiekami.

VI

Nazajutrz wstałem bardzo wczesnie i wybiegłem do ogrodu. Ranek był śliczny, pełen rosy i zapachu kwiatów. Biegłem szybko do grabowego szpaleru, bo serce mówiło mi, że tam zastanę Hanię. Ale widocznie zbyt pochopne do przeczuć serce myliło się, gdyż Hani nie było

tam wcale. Dopiero po śniadaniu znalazłem się z nią sam na sam i spytałem, czy nie zechce się przejść po ogrodzie. Zgodziła się chętnie i pobiegłszy do swego pokoiku, wróciła po chwili w dużym kapeluszu ryżowym na głowie, który ocieniał jej czoło i oczy, i z parasolką w ręku. Spod tego kapelusza uśmiechała się figlarnie do mnie, jakby chciała powiedzieć: „Patrz, jak mi ładnie.” Wyszliśmy razem do ogrodu. Skierowałem się do grabowego szpaleru, a przez drogę myślałem o tym, jakby zacząć rozmowę, i o tym, że Hania, która z pewnością umiałaby to lepiej ode mnie, nie chce mi dopomóc, ale raczej bawi się moim zakłopotaniem. Szedłem tedy obok niej w milczeniu, ścinając szpicrutą rosnące po rabatach kwiaty, aż nagle Hania rozśmiała się i chwytając za szpicrutę, rzekła:

– Panie Henryku, co panu winny te kwiaty?

– Eh! Haniu! co tam kwiaty, ale ot widzisz, nie umiem zacząć z tobą rozmowy, zmieniłaś się bardzo, Haniu. Ach! jak ty się zmieniłaś!

– Przypuśćmy, że tak jest. Czy to pana gniewa?

– Tego nie mówię – odrzekłem na wpół smutno – ale nie mogę się z tym oswoić, bo zdaje mi się, że tamta malutka Hania, którą znałem dawniej, i ty, to dwie inne istoty. Tamta zrosła się z mymi wspomnieniami, z... moim sercem, jak siostra, Haniu, jak siostra, a więc...

– A więc ta (tu wskazała paluszką na siebie) dla pana jest obca, nieprawdaż? – spytała cicho.

– Haniu! Haniu! jak ty możesz pomyśleć nawet coś podobnego?

– A przecież to bardzo naturalne, choć może smutne – odparła. – Szukasz pan w sercu dawnych braterskich uczuć dla mnie i nie znajdujesz ich! Oto i wszystko.

– Nie, Haniu! ja nie w sercu szukam dawnej Hani, bo ona tam jest zawsze; ale szukam jej w tobie, a co do serca...

– Co do serca pana – przerwała mi wesoło – domyślam się, co się z nim stało. Zostało gdzieś w Warszawie, przy jakimś drugim szczęśliwym serduszku. Łatwo to odgadnąć!

Spojrzałem jej głęboko w oczy; sam nie wiedziałem, czy mnie trochę bada, czy licząc na wrażenie, jakie na mnie uczyniła wczoraj, a jakiego ukryć nie umiałem, igra sobie ze mną w sposób trochę okrutny. Ale nagle i we mnie obudziła się chęć oporu. Pomyślałem, że muszę mieć arcykomiczną minę, poglądając na nią wzrokiem dobijanej łani, więc zapanowałem nad uczuciami, jakie poruszały mną w tej chwili, i odrzekłem:

– A jeżeli tak jest istotnie?

Zaledwie dostrzegalny wyraz zdziwienia i jakby zniechęcenia przemknął po jasnej twarzyczce Hani.

– Jeżeli tak jest istotnie – odparła – a więc to pan się zmienił, nie ja.

To rzekłszy, nachmurzyła się trochę i spoglądając na mnie spod oka, szła przez jakiś czas w milczeniu, ja zaś starałem się ukryć radosne wzruszenie, jakim przejęły mnie jej słowa. „Ona mówi – myślałem sobie – że jeśli inną kocham, to ja się zmienię, zatem nie ona się zmieniła, zatem ona mnie...”

I nie śmiałem dokończyć z radości tego mądrego wniosku.

A z tym wszystkim nie ja, nie ja, ale ona była zmieniona. Ta przed pół rokiem mała, o Bożym świecie nie wiedząca dziewczynka, której na myśl by nie przyszło mówić o uczuciach i dla której podobna rozmowa byłaby chińskim językiem, dziś prowadziła ją tak swobodnie i wprawnie, jakby recytowała wyuczoną lekcję. Jakże rozwinął się i stał się giętkim ten niedawno dziecinny umysł! Ale z panienkami dzieją się cuda podobne. Niejedna wieczorem zasypia dzieckiem, rano budzi się dziewczyną, z innym światem uczuć i myśli. Dla Hani, z natury bystrej, pojętnej i wrażliwej, pół roku czasu, przejście szesnastu lat wieku, inna sfera towarzyska, nauki, czytane może ukradkiem książki, wszystko to wystarczyło aż nadto.

Ale tymczasem szliśmy obok siebie w milczeniu. Przerwała je teraz pierwsza Hania.

– Więc i oto pan zakochany, panie Henryku?

– Może – odpowiedziałem z uśmiechem.

– To pan będzie tęsknił za Warszawą?

– Nie, Haniu! Rad bym nigdy stąd nie wyjeżdżać.

Hania spojrzała na mnie szybko. Chciała widocznie coś powiedzieć i zamilkła, ale po chwili uderzyła z lekka parasolką po sukni i rzekła, jakby odpowiadając na własne myśli:

– Ach! jakże ja jestem dziecinna!

– Dlaczego to mówisz, Haniu? – spytałem.

– E! nic. Siądźmy na tej ławce i mówmy o czym innym. Prawda, jaki stąd piękny widok? – spytała nagle ze znanym mi uśmiechem na ustach.

Siadła na ławce nie opodal szpaleru, pod ogromną lipą, skąd istotnie widok był bardzo piękny na staw, groble i las za stawem. Hania ukazywała mi go parasolką, ale ja, jakkolwiek miłośnik pięknych widoków, nie miałem najmniejszej ochoty nań patrzeć, bo raz, że znałem go doskonale, po wtóre, miałem przed sobą Hanię, piękniejszą stokroć od wszystkiego, co ją otaczało, a na koniec myślałem zupełnie o czym innym.

– Jak tam ślicznie te drzewa odbijają się w wodzie – mówiła Hania.

– Widzę, że jesteś artystką – odparłem, nie patrząc w stronę drzew ani wody.

– Ksiądz Ludwik uczy mnie rysować. O! ja dużo się uczyłam przez ten czas, kiedy pana tu nie było; chciałam... ale co panu jest? czy się pan gniewa na mnie?

– Nie, Haniu, ja się nie gniewam, bo nie umiałbym się gniewać na ciebie; ale widzę, że wymijasz moje pytania i że ot! oboje gramy z sobą w ślełą babkę, zamiast rozmawiać szczerze i z ufnością, jak za dawnych czasów. Może ty tego nie czujesz, ale mnie to przykro, Haniu!...

Te proste słowa sprawiły tylko ten skutek, że wprowadziły nas oboje w ogromne zakłopotanie. Hania podała mi wprawdzie obie ręce; ja uściśnąłem te ręce może zbyt silnie i, o zgrozo! pochyliwszy się szybko, ucałowałem je wcale jakoś nie tak, jak na opiekuna przystało. Następnie zmieszaliśmy się oboje do najwyższego stopnia: ona zaczerwieniła się aż po szyjkę, ja również, i wreszcie zamilkliśmy, nie wiedząc ani be ani me, jak zacząć tę rozmowę, która miała niby być szczerą i pełną ufności.

Potem ona spojrzała na mnie, ja na nią i znowu wywiesiliśmy na twarzach czerwone chorągwie. Siedzieliśmy obok siebie jak dwie lalki: zdawało mi się, że słyszę przyśpieszone bicie własnego serca. Położenie nasze było nieznośne. Chwilami czułem, że jakaś ręka bierze mnie za kołnierz i chce rzucić do jej stóp, a druga trzyma za włosy i nie puszcza; nagle Hania zerwała się i rzekła szybkim, pomieszaniem głosem:

– Muszę już iść; mam lekcję o tej godzinie z panią d'Yves: już blisko jedenasta.

Udaliśmy się tą samą drogą ku domowi. Szliśmy tak jak i poprzednio, w milczeniu, ja jak i poprzednio ścinałem szpicrutą główki kwiatów, ale ona już nie litowała się nad nimi.

Pięknie wróciły nasze dawne stosunki; nie ma co mówić!

„Jezus, Maria! co się ze mną dzieje” – pomyślałem sobie, kiedy Hania pozostawiła mnie samego. Byłem zakochany tak, że aż włosy powstawały mi na głowie.

Tymczasem nadszedł ksiądz Ludwik i wziął mnie z sobą do gospodarstwa. Po drodze opowiadał mi mnóstwo rozmaitych rzeczy, dotyczących się naszego majątku, które nie zajmowały mnie ani trochę, choć udawałem, że słucham uważnie.

Brat mój, Kazio, który korzystając z wakacji, całe dni przesiadywał za domem, w stajniach, w lesie, ze strzelbą na koniu lub na łodzi, w tej chwili właśnie ujeżdżał pod wierzch na podwórzu folwarcznym młode konie ze stadniny. Ujrawszy mnie i księdza, przygalopował do nas na jakimś kasztanie, który rzucał się pod nim jak wściekły, i kazał nam podziwiać jego kształty, ogień i chody, po czym zsiadł i poszedł z nami. Zwiedziliśmy razem stajnie, obory, stodoły i wybieraliśmy się właśnie w pole, gdy dano znać, że przyjechał mój ojciec, trzeba więc było wrócić do domu. Ojciec przywitał mnie tak gorąco jak nigdy. Dowiedziawszy się o egzaminach, wziął mnie w objęcia i oświadczył, że odtąd chce mnie uważać za dorosłego. Jakoż istotnie w obejściu się jego ze mną zaszły wielkie zmiany. Traktował mnie poufalej i serdeczniej. Zaraz począł ze mną mówić o interesach naszych

majątkowych, zwierzył mi się z zamiarami dokupienia jednego z sąsiednich majątków i pytał mnie o zdanie. Domyśliłem się, że mówi o tym umyślnie, aby okazać mi, jak poważnie sam patrzy na znaczenie moje jako dorosłego i najstarszego syna w rodzinie. A przy tym widziałem, jak dalece istotnie cieszył się mną i postępami moimi w nauce. Nigdy nie patrzył na mnie z taką miłością jak obecnie. Dumie jego rodzicielskiej pochlebiali niezmiernie świadectwa nauczycieli, jakie z sobą przywozłem. Zauważyłem przy tym, że bada mój charakter, sposób myślenia, pojęcia o honorze i że umyślnie zadaje mi rozmaite pytania, aby mnie z nich wymiarkować. I widać, egzamin ten rodzicielski wypadł pomyślnie, bo jakkolwiek zasady moje filozoficzne i społeczne były już arcy od ojcowskich odmienne, ale się z nimi nie wydawał, w innych zaś pojęciach nie mogliśmy się różnić. Toteż surowa, lwia twarz mego ojca rozjaśniona była jak nigdy. Obsypał mnie tego jeszcze dnia darami; darował mi parę pistoletów, z których strzelał się niedawno z p. Zollem i na których zakarbowanych było kilka innych pojedynków, jakie odbywał za młodych swych lat, służąc wojskowo. Następnie otrzymałem pysznego konia wschodniej krwi i starą szablę po ojcach, z rękojeścią sadzoną kamieniami, z klingą szeroką damasceńską, z obrazem Matki Boskiej cyzelowanym złotem na stali i z napisem: „Jezus, Maria!” Szabla ta stanowiła jedną z najcenniejszych naszych pamiątek rodzinnych, a przy tym wieczny od dawnych lat przedmiot westchnień moich i Kazia, bo cięła żelazo jak wióry. Ojciec, dając mi ją, wy dobył ją z pochwy, machnął nią parę razy, aż zawarczało powietrze i blask zrobił się w pokoju; potem nakreślił nią krzyż nad moją głową, ucałował obraz Matki Boskiej i wręczając mi ją, rzekł:

– W godne ręce! ja nie zrobiłem jej wstydu, nie zrób i ty!

Potem rzuciliśmy się sobie w objęcia, a szablę tymczasem porwał z zapalem Kazio i jakkolwiek piętnastoletni dopiero chłopak, ale nadzwyczaj silny, począł wykonywać nią cięcia, których dokładności i szybkości nie powstydziliby się żaden doświadczony nauczyciel fechtunku. Ojciec spoglądał na niego z zadowoleniem i rzekł:

– To będzie gracz, ale i ty tak potrafisz? Nieprawda?

– Potrafię, ojczu. Kaziowi bym jeszcze poradził. Ze wszystkich kolegów, z którymi uczyłem się razem fechtować, jeden przewyższał mnie tylko.

– Kto taki?

– Selim Mirza.

Ojciec skrzywił się.

– Ach, Mirza! Ale ty musisz być silniejszy.

– Toteż to jedno, co pozwala mi się z nim trzymać. No, ale przecież z Selimem nie pobijemy się nigdy.

– Ej, różnie to bywa – odpowiedział mój ojciec.

Po obiedzie dnia tego siedliśmy wszyscy w obszernym, winem obrośniętym ganku, z którego widok był na ogromny dziedziniec i w dali na cienistą drogę, sadzoną lipami. Pani d'Yves robiła szydełkiem obrus do kaplicy, ojciec i ksiądz Ludwik palili fajki, popijając czarną kawę, Kazio kręcił się przed gankiem, goniąc oczyma zwroty powietrzne jaskółek, do których miał ochotę strzelać kulami, a do których ojciec strzelać mu nie pozwolił, my zaś z Hanią oglądaliśmy przywiezione przeze mnie rysunki i jak najmniej myśleliśmy o rysunkach: przynajmniej dla mnie służyły one tylko do ukrywania przed innymi spojrzeń, jakie rzucałem na Hanię.

– Cóż, a jakże tam znalazłeś Hanię? Zbrzydła ci bardzo, panie opiekunie? – spytał mnie ojciec, spoglądając zartobliwie na dziewczynkę.

Zacząłem nader pilnie wpatrywać się w rysunek i odpowiedziałem spoza papieru:

– Nie powiem, ojcze, żeby zbrzydła, ale wyrosła i zmieniła się.

– Już mi pan Henryk robił o te zmiany wyrzuty – wtrąciła swobodnie Hania.

Podziwiałem jej odwagę i przytomność; ja byłbym o tych wyrzutach tak swobodnie nie wspominał.

– Co tam, czy zbrzydła, czy wyładniała – rzekł ksiądz Ludwik – ale uczy się szybko i dobrze. Niech *madame* powie, jak prędko nauczyła się po francusku?

Trzeba wiedzieć, że ksiądz Ludwik, lubo człowiek bardzo wykształcony, nie umiał po francusku i nie mógł się nauczyć, choć kilkanaście lat spędził pod naszym dachem z panią d'Yves. A biedak miał słabość do francuszczyzny i znajomość jej uważał za niezbędną cechę wyższego wykształcenia.

– Nie mogę Hani zaprzeczyć, że uczy się łatwo i chętnie – odpowiedziała pani d'Yves – ale jednak muszę się na nią panu poskarżyć – dodała, zwracając się ku mnie.

– O! pani! cóżem znów przewiniła? – zawołała Hania, składając ręce.

– Coś przewiniła? Zaraz się tu będziesz tłumaczyć – odparła pani d'Yves. – Niech sobie pan wyobrazi, że ta panienka, jak tylko znajdzie chwilę czasu, zaraz chwyta za powieść i mam pewne powody sądzić, że kiedy idzie spać, to zamiast zgasić świecę i spać, czyta jeszcze po całych godzinach.

– To robi bardzo niedobrze; ale zresztą wiem skądinąd, że naśladuje swoją nauczycielkę – rzekł mój ojciec, który lubił się sprzeciwiać pani d'Yves, gdy był w dobrym humorze.

– O, bardzo przepraszam, ja mam czterdzieści pięć lat – odpowiedziała Francuzka.

– Patrzcie, nigdy bym tego nie powiedział – odrzekł ojciec.

– Niedobry pan jesteście!

– Nie wiem, ale wiem tylko, że Hania, jeżeli dostaje skąd powieści, to nie z biblioteki, bo klucz od biblioteki ma ksiądz Ludwik. Wina zatem na nauczycielkę spada.

Rzeczywiście, pani d'Yves całe życie czytywała romanse, a mając namiętność do opowiadania ich wszystkim, musiała zapewne opowiadać je i Hani, dlatego w słowach ojca na wpół zartobliwych kryła się pewna prawda, którą umyślnie chciał wypowiedzieć.

– Patrzcie państwo, ktoś do nas jedzie – zawołał nagle Kazio.

Spojrzeliliśmy wszyscy w ciemnię lipowej alei i istotnie na początku jej, może o wiorstę jeszcze drogi, ujrzelśmy obłok kurzu, który przybliżał się ku nam z nadzwyczajną szybkością.

– Kto to może być? Co za szybkość – zauważył powstając ojciec. – Kurz taki, że nic nie można rozeznąć.

Rzeczywiście upał był ogromny; deszcz nie padał już przeszło dwa tygodnie, więc po drogach tumany białego pyłu wznosiły się za każdym ruchem. Patrzyliśmy jeszcze chwilę na próżno na zbliżający się obłok, który był już nie dalej jak o kilkadziesiąt kroków od dziedzińca, gdy nagle z tumanu wychyliła się głowa końska z czerwonymi, rozdętymi chrapami, z ognistymi oczyma i z rozwianą grzywą. Biały koń pędził w największym galopie, nogami zaledwie tykając ziemi, a na nim, pochylony na szyję końską po tatarsku, nie kto inny, tylko mój przyjaciel Selim.

– Selim jedzie, Selim! – zawołał Kazio.

– Co ten wariat robi! Brama zamknięta! – krzyknąłem zrywając się z miejsca.

Nie było czasu już bramy otworzyć, bo nikt nie zdołałby na czas nadbiec; tymczasem Selim pędził jak szalony na oślep i prawie pewnym było, że wpadnie na sztachety, przeszło dwa łokcie wysokie i pozaostrzane u góry.

– Boże! zmiłuj się nad nim! – wykrzyknął ksiądz Ludwik.

– Brama! Selimie! brama! – krzychałem jak opętany, machając chustką i biegnąc co siły w poprzek dziedzińca.

Nagle Selim, o jakie pięć kroków od bramy, wyprostował się na siodle, zmierzył spojrzeniem jak błyskawicą sztachety. Potem doszedł mnie krzyk kobiet, siedzących w ganku, gwałtowne tupotanie kopyt! koń wspiął się, zawisnął przednimi kopytami w powietrzu i w największym pędzie przesadził sztachety, nie zatrzymując się ani na chwilę.

Dopiero przed gankiem Selim osadził go tak, że aż kopyta zaryły mu się w ziemię i zerwawszy kapelusz z głowy, zaczął wywijać nim jak chorągiewką i krzyżeć:

– Jak się macie, moi drodzy, kochani państwo! Jak się macie! Moje uszanowanie panu dobrodziejowi! – wołał kłaniając się ojcu – moje uszanowanie kochanemu księdzu, pani d'Yves, pannie Hannie. Jesteśmy znów wszyscy razem. Wiwat! wiwat!

To mówiąc zeskoczył z konia i rzuciwszy cugle Frankowi, który w tej chwili wybiegł z sieni, począł ścisnąć ojca, księdza i całować po rękach kobiety.

Pani d'Yves i Hania były jeszcze blade ze strachu, ale właśnie dlatego witały Selima jak ocalonego, a ksiądz Ludwik rzekł:

– A wariacie, wariacie, coś ty nam strachu narobił. Myśleliśmy, że już po tobie.

– No, albo co?

– A z tą bramą. Jak to można tak pędzić na oślep!

– Na oślep? Przecie ja widziałem, że brama zamknięta. Oho! mam ja swoje doskonałe tatarskie oczy.

– I nie bałeś się skakać?

Selim roześmiał się.

– Nie, ani trochę, księżu Ludwiku. Ale wreszcie to zasługa mego konia, nie moja.

– *Voilà un brave garçon!* – rzekła pani d'Yves.

– O, tak, nie każdy by się na to odważył – dodała Hania.

– Chcesz powiedzieć – odparłem – że nie każdy by koń przeskoczył, bo ludzi znalazłoby się takich więcej.

Hania zatrzymała na mnie długie spojrzenie:

– Nie radziłabym panu próbować.

Po czym spojrzała na Selima, a wzrok jej wyrażał podziw, bo istotnie, pominąwszy już zuchwały krok Tatara, który był jednym z tych hazardów, jakie zawsze podobają się kobietom, trzeba było widzieć go, jak wyglądał w tej chwili. Śliczne czarne włosy spadały mu na czoło, policzki miał zarumienione szybkim ruchem, oczy błyszczące, z których biła wesołość i radość. Gdy stał teraz koło Hani, patrząc jej z ciekawością w oczy, piękniejszych dwojga ludzi żaden artysta nie umiałby wymarzyć.

Co do mnie, byłem do najwyższego stopnia dotknięty jej słowami. Zdawało mi się, że owo: „Nie radziłabym próbować”, wyrzekła głosem, w którym drgał jakiś ton ironii. Spojrzałem pytającym wzrokiem na ojca, który przed chwilą oglądał Selimowego konia. Znałem jego ambicję rodzicielską, wiedziałem, że był zazdrosny, ilekroć kto w czymkolwiek mnie przewyższył, a w Selimie gniewało go to od dawna; dlatego liczyłem, że nie sprzeciwi mi się, jeżeli zechcę okazać, iż nie jestem gorszym od Selima jeźdźcem.

– Ten koń istotnie dzielnie skacze, ojczy – rzekłem.

– Ale i ten szatan dzielnie siedzi – odmruknął. – A ty, czybyś tak potrafił?

– Hania wątpi – odparłem z pewną goryczą. – Mogę spróbować?

Ojciec zawahał się, rzucił oczyma na sztachety, na konia, na mnie i rzekł:

– Daj pokój.

– Naturalnie! – zawołałem z żalem. – Lepiej mi uchodzić za babę w porównaniu z Selimem.

– Henryku! Co też ty wygadujesz! – zawołał Selim, otoczywszy moją szyję ramieniem.

– Skacz! skacz, chłopcze! a spraw się dobrze! – rzekł ojciec, którego duma była dotknięta.

– Konia mi tu! – zawołałem na Franka, który oprowadzał zwolna po dziedzińcu zmęczonego wierzchowca.

Hania nagle zerwała się z miejsca.

– Panie Henryku! – zawołała – to ja jestem powodem tej próby. Ja nie chcę, nie chcę. Pan tego nie zrobi... dla mnie.

I to mówiąc patrzyła mi w oczy, jakby chciała dopowiedzieć wzrokiem wszystko to, czego nie mogła wyrazić słowami.

Ach! za ten jej wzrok oddałbym ostatnią kroplę krwi w tej chwili, ale nie mogłem i nie chciałem się cofnąć. Obrażona duma moja była w tej chwili silniejszą od wszystkiego, dlatego zapanowałem nad sobą i odpowiedziałem sucho:

– Mylisz się, Haniu, jeśli sądzisz, że ty jesteś powodem. Będę skakał dla własnej przyjemności.

To mówiąc, mimo protestacji wszystkich, z wyjątkiem ojca, siadłem na koń i stępo ruszyłem w lipową aleję. Franek otworzył bramę i zamknął ją za mną natychmiast. Miałem gorycz w duszy i skakałbym przez te sztachety, choćby jeszcze dwa razy były wyższe. Ujehawszy ze trzysta kroków, zwróciłem konia i puściłem go kłusem, który natychmiast zmieniłem w galop.

Nagle spostrzegłem, że siodło chwieje się pode mną.

Stało się jedno z dwojga: albo popręg nadpękł w czasie poprzedniego skoku, albo Franek rozluźnił go koniowi dla odetchnienia i przez głupotę czy może przez zapomnienie nie ostrzegł mnie o tym dość wcześnie.

Teraz już było za późno. Koń w największym pędzie zbliżał się do sztachet, ja zaś nie chciałem go już cofać. „Zabiję się, to się zabiję!” – myślałem sobie. Ogarnęła mnie jakaś rozpacz. Ścisnąłem konwulsyjnie boki konia; wiatr świszczął mi w uszach. Nagle sztachety błysnęły mi tuż przed oczyma, machnąłem szpicrutą, uczułem się uniesiony w powietrze, o

uszy obił mi się krzyk z ganku, w oczach mi pociemniało i... po chwili ocuciłem się z omdlenia na gazonie.

Zerwałem się na równe nogi.

– Co się stało? – zawołałem. – Zleciałem? Zemdląłem?

Koło mnie stał ojciec, ksiądz Ludwik, Selim, Kazio, pani d'Yves i Hania, blada jak płótno, ze łzami w oczach.

– Co ci jest? co ci jest? – wołano ze wszystkich stron.

– Nic zupełnie. Zleciałem, ale to nie z mojej winy. Popręg był pęknięty.

Istotnie, po chwilowym omdleniu czułem się zdrow zupełnie, tylko trochę brakło mi oddechu. Ojciec począł dotykać moich rąk, nóg... i pleców.

– Nie boli? – pytał.

– Nie, jestem zdrow zupełnie.

Wkrótce wrócił mi i oddech. Byłem tylko zły, bo mi się zdawało, że wydaję się śmiesznym. Bo też musiałem wyglądać śmiesznie. Zlatując z konia, przeleciałem z impetem przez całą szerokość drogi idącej koło trawnika i padłem na trawnik, skutkiem czego łokcie i kolana mego jasnego ubrania umalowane były na zielono, a ubranie i włosy w nieładzie. Ale z tym wszystkim, niefortunny ów wypadek oddał mi na razie pewną przysługę. Oto przed chwilą przedmiotem ogólnego zajęcia naszego kółka był Selim, jako gość i jako gość świeżo przybyły; teraz ja, wprawdzie kosztem moich łokci i kolan, odebrałem mu tę palmę. Hania przypisując ciągle sobie, a mówiąc nawiasem – słusznie, powód tej hazardownej próby, która tak mogła się źle dla mnie skończyć, starała się wynagrodzić mi dobrocią i słodyczą swoją nieostrożność. Pod takim wpływem odzyskałem też wkrótce wesołość, która udzieliła się i całemu, przed chwilą przerażonemu, towarzystwu. Bawiliśmy się doskonale; podano podwieczorek, przy którym Hania była gospodynią, a potem wyszliśmy do ogrodu. W ogrodzie Selim rozszalał się jak małe dziecko; śmiał się, dokazywał, a Hania pomagała mu z całej duszy. Wreszcie Selim rzekł:

– Ach! jak my się teraz będziemy bawić we troje.

– Ciekawam – rzekła Hania – które z nas najweselsze?

– To pewno ja – odpowiedział.

– A może ja? O, ja także z natury jestem bardzo wesoła.

– A najmniej wesoły to Henryk – dorzucił Selim. – On z natury jest poważny i trochę melancholiczny. Żeby żył w średnich wiekach, to zostałby błędnym rycerzem i trubadurem, tylko prawda: nie umie śpiewać! Ale my – dodał zwracając się do Hani – tośmy się w korcu maku szukali i dobrali.

– Ja się na to nie zgadzam – rzekłem. – Za dobrane usposobienia uważam usposobienia przeciwne, bo w takim razie jedno ma te własności, których brak drugiemu.

– Dziękuję ci – odparł Selim. – Przypuszczam, że ty z natury lubisz płakać, a panna Hanna się śmiać. No, dajmy na to: żenicie się...

– Selim!

Selim spojrział na mnie i począł się śmiać...

– A to co, paniczku? Ha! Ha! A pamiętasz ty mowę Cyncerona *Pro Archia? Commoveri videtur iuvenis*, co po polsku brzmi: zmieszonym wydaje się być młodzieniec. Ale to nie znaczy nic, bo ty sławnie nawet bez powodu raki pieczesz. Panno Hanno! on sławnie raki piecze, a teraz napiekł ich za siebie i za panią.

– Selim!

– Nic, nic. Wracam do założenia. Ty więc, panie płaczku, i pani, pani śmieszko, żenicie się. Otóż co się dzieje: on zaczyna beczeć, pani zaczyna się śmiać; nie rozumiecie się nigdy, nie schodzicie się nigdy, rozchodzicie się zawsze, i co mi to za dobrane natury! O! ze mną to co innego! My po prostu śmielibyśmy się całe życie, i koniec.

– Ach! co też pan mówi – odpowiedziała Hania. Swoją drogą, oboje zaczęli się śmiać w najlepsze.

Co do mnie, nie miałem do śmiechu najmniejszej ochoty. Selim ani wiedział, jaką mi krzywdę robił, wmawiając w Hanię ową różnicę między usposobieniem jej i moim. Byłem do najwyższego stopnia rozgniewany i dlatego ozwałem się do Selima z przekąsem:

– Dziwny masz pogląd, a dziwi mnie on tym bardziej, że zauważyłem, iż masz pewną słabość do osób melancholicznych.

– Ja? – rzekł z niekłamanym zdziwieniem.

– Tak. Przypomnę ci tylko pewne okienko, kilka fuksji w okienku i twarzyczkę między fuksjami. Daję ci słowo, że nie znam tak melancholicznej twarzy.

Hania poczęła klaskać w ręce.

– Oho! dowiaduję się czegoś nowego! – zawołała śmiejąc się. – A ślicznie, panie Selimie, ślicznie!

Myślałem, że Selim zmiesza się i straci fantazję, ale on tylko rzekł:

– Henryku!

– Co?

– Wiesz, co robią z tymi, co mają za długi język?

I w śmiech.

Hania jednak poczęła mu się sprzeciwiać i napierać, by powiedział jej choć imię swojej wybranej. Nie namyślając się długo, powiedział: „Józia!” Ale gdyby sobie był co z tego robił, zapłaciłby drogo za swoją szczerość, bo Hania odtąd nie dała mu już spokoju aż do samego wieczora.

– Czy ładna? – pytała.

– Taka sobie.

– Jakie ma włosy, oczy?

– Ładne, ale nie takie, jakie mi się najwięcej ze wszystkich podobają.

– A jakie się panu podobają?

– Włosy jasne, a oczy, jeżeli łaska, niebieskie, takie jak te, w które patrzę teraz.

– Oo! panie Selimie!

I Hania zachmurzyła się, Selim zaś złożył ręce, przymilił się i z tą... swoją nieporównaną słodyczą w oczach, począł mówić:

– Panno Hanno! niech pani się nie gniewa! Co pani biedne Tatarzysko zawiniło? Niech pani się nie gniewa! Niech pani się rozśmieje.

Hania patrzyła na niego i w miarę jak patrzyła, chmurka znikła z jej czoła. Po prostu oczarował ją. Uśmiezek począł się błąkać w kącikach jej ust; rozjaśniły się oczy, rozpromieniła twarzyczka i wreszcie odpowiedziała miękkiem, łagodnym głosem:

– Dobrze, nie będę się gniewać, ale proszę być grzecznym.

– Będę, jak Mahometa kocham, będę!

– A bardzo pan kocha swojego Mahometa?

– Jak psy dziada.

I znowu zaczęli się śmiać oboje.

– No, a teraz niech mi pan powie – podjęła na nowo rozmowę Hania – w kim się kocha pan Henryk? Pytałam go, ale mi nie chciał powiedzieć.

– Henryk?... Wie pani co (tu Selim popatrzył na mnie spod oka), on się chyba jeszcze w nikim nie kocha, ale się będzie kochał. Oho! wiem doskonale w kim! I co do mnie...

– Co do pana?... – spytała Hania usiłując pokryć zmieszanie.

– Zrobiłbym toż samo. Ale zresztą... poczekajcie państwo: może on się już i kocha.

– Tylko proszę cię, daj pokój, Selimie!

– Mój ty pocziwy chłopczysko! – rzekł Selim ściskając mnie za szyję. – Ach! żeby pani wiedziała, jaki on pocziwy!

– O! wiem o tym! – odrzekła Hania. – Pamiętam, jaki był dla mnie po śmierci dziadka.

Chmurka smutku przeleciała teraz pomiędzy nami.

– Powiadam pani – mówił Selim, chcąc zwrócić rozmowę na inny przedmiot – powiadam pani, że jak po egzaminie do Szkoły Głównej popiliśmy się razem z naszym mistrzem...

– Popili?

– Tak! O! to jest zwyczaj taki, któremu nie można uchybiać. Więc, kiedyśmy się popili, wtedy, bo to ja widzi pani, jestem roztrzępany, wniosłem pani zdrowie. Niemądrze zrobiłem, widzi pani; ale Henryk jak się zerwie: „Jak śmiesz wymawiać imię Hani w takim miejscu?” powiada do mnie. Bo to był sobie sklep pijacki. Małośmy się nie poczubili. Ale on pani nie da ubliżyć, co nie, to nie.

Hania podała mi rękę.

– Panie Henryku! Jaki pan dobry.

– No dobrze – odpowiedziałem, ujęty słowami Selima – ale powiedz sama, Haniu, czy Selim nie jest równie pocziwy, że opowiada takie rzeczy.

– O! to mi wielka pocziwość! – rzekł śmiejąc się Selim.

– Ale tak! – odpowiedziała Hania – obaj panowie jesteście warci siebie i będzie nam razem bardzo dobrze.

– Pani będzie naszą królową! – wykrzyknął z zapalem Selim.

– Panowie! Haniu! prosimy na herbatę.– ozwał się z werendy ogrodowej głos pani d’Yves.

Wróciliśmy na herbatę wszystko troje w jak najlepszym. usposobieniu. Stół zastawiony był pod werendą; świece, objęte szklannymi kielichami, paliły się migotliwym światłem, a ómy, rojem krążąc koło światła, tłukły się o szklanne ściany kielichów; listki dzikiego winogrodu szeleściły kołysane ciepłym powiewem nocnym, a za topolami wytoczył się wielki złoty miesiąc. Ostatnia rozmowa pomiędzy mną, Hanią i Selimem nastroiła nas na ton dziwnie łagodny i przyjazny. Wieczór taki cichy i spokojny oddziałł i na starszych. Twarze ojca i księdza Ludwika wypogodzone były jak niebo.

Po herbacie pani d’Yves zaczęła kłaść pasjans, ojciec zaś wpadł w jak najlepszy humor, gdyż zaczął opowiadać o dawnych czasach, co u niego zawsze było znakiem dobrego humoru.

– Pamiętam raz – mówił – staliśmy niedaleko jakiejś wioski w Krasnostawskim; noc, pamiętam, była ciemna choć oko wykol (tu pociągnął dymu z fajki i puścił go nad świecę), człowiek był zmęczony jak żydowska szkapa, stoimy tedy sobie cicho, a wtem...

I tu nastąpiło opowiadanie dziwnych i przedziwnych wypadków. Ksiądz Ludwik, który już był je nieraz słyszał, powoli jednak przestawał palić, słuchał coraz uważniej, zakładał okulary na czoło i kiwając głową, powtarzał: „Uhum! uhum!”, albo też wykrzykiwał: „Jezus, Maria! – no i co!” My z Selimem, oparłszy się o siebie ramionami, z utkwionymi oczyma w ojca,

łowiliśmy z chciwością jego słowa; ale wrażenia na żadnej twarzy nie malowały się tak wybitnie, jak na twarzy Selima. Oczy świeciły mu jak węgle, rumieńce były na twarzy, wschodnia gorąca natura wyszła jakby oliwa na wierzch. Trudno mu było dosiedzieć na miejscu. Pani d'Yves spojrzawszy nań uśmiechnęła się i pokazała go oczyma Hani, a potem obie poczęły mu się przypatrywać; bo bawiła je ta twarz jakby zwierciadło albo jak szyba wodna, w której odbija się wszystko, co tylko zbliża się do przeźroczy.

Dzisiaj, kiedy przypominam sobie podobne wieczory, nie umiem się oprzeć rozrzewnieniu. Wiele fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu, a jednak pamięć skrzydlata ustawicznie przesuwa mi przed oczyma podobne obrazy dworu wiejskiego, cichej nocy letniej i takiej rodziny zgodnej, kochającej się, szczęśliwej; stary, posiwiwały weteran opowiada tam o dawnych życia kolejach; u młodych skrzą się oczy, dalej jedna twarzyczka jak kwiat polny... Hej! dużo fal na wodzie, a obłoków na niebie upłynęło od tego czasu.

Tymczasem wybiła godzina dziesiąta. Selim zerwał się, bo miał rozkaz wracać na noc do domu. Postanowiliśmy, że całe towarzystwo odprowadzi go jeszcze aż do krzyża, stojącego na końcu alei lipowej, blisko drugiego kołowrotu; ja zaś konno dalej jeszcze, bo aż za łąki. Wyruszyliśmy tedy wszyscy oprócz Kazia, który rozespał się już w najlepsze.

Ja, Hania i Selim wysunęliśmy się naprzód: my obaj prowadząc konie za cugle, Hania między nami w środku. Starsi we troje szli za nami. W alei ciemno było; księżyc tylko, przedzierając się przez gęste liście, pstrzył srebrnymi plamami ciemną drogę.

– Zaśpiewajmy co – rzekł Selim – jaką starą pieśń, a ładną, na przykład o Filonie.

– Tego już nigdzie nie śpiewają – odparła Hania – ja umiem inną: „Oj, jesienią, jesienią wędnie liść na drzewie!”

Ułożyli się wreszcie, że będą śpiewać naprzód o Filonie, co bardzo lubił i ksiądz, i ojciec, bo im to przypominało dawne czasy, a potem: „Oj, jesienią, jesienią!” Hania oparła białą rączkę o grzywę Selimowego konia i zaczęli śpiewać:

Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,
A tam ktoś klaszcze za borem;
Pewnie mnie czeka mój Filon miły
Pod ulubionym jaworem...

Gdy skończyli, ozwały się z ciemności za nami głosy starszych: „Brawo! brawo! zaśpiewajcie jeszcze co.” Ja wtórowałem, jak mogłem, ale nie umiał dobrze śpiewać, a Hania i Selim mieli śliczne głosy, szczególnie zaś Selim. Czasami, gdym zbyt przekreślił

nutę, śmieli się ze mnie oboje. Potem zanucili jeszcze kilka pieśni, podczas których myślałem sobie: „Dlaczego ta Hania trzyma rękę na grzywie konia Selima, a nie mego?” Ten koń szczególnie jej się podobał. Chwilami przytulała się do jego szyi lub klepiąc ją ręką, powtarzała: „Mój koniczek, mój!”, a łagodne zwierzę parskało i wyciągało rozwarte, chrapiące nozdrza w kierunku jej ręki, jakby szukając cukru. Wszystko to sprawiło, że posmutniałem znowu i nie patrzyłem na nic, tylko na tę rękę, ciągle spoczywającą na grzywie.

Tymczasem doszliśmy do krzyża, koło którego kończyły się lipy. Selim zaczął mówić wszystkim: „dobranoc”, pocałował w rękę panią d'Yves, a chciał pocałować i Hanię, ale nie pozwoliła na to, przy czym spojrzała na mnie jakby z obawą. Za to kiedy już Selim siedział na koniu, zbliżyła się doń i poczęła z nim rozmawiać. Przy blasku księżyca, którego w tym miejscu nie przesłaniały lipy, widziałem jej oczy wzniesione ku Selimowi i słodki wyraz twarzy.

– Niech pan nie zapomina o panu Henryku – rzekła mu. – Będziemy zawsze razem bawić się i razem śpiewać, a tymczasem dobranoc!

To rzekłszy podała mu rękę, po czym starsi wraz z nią zwrócili się ku domowi, my zaś z Selimem ku łąkom.

Jechaliśmy czas jakiś w milczeniu, otwartą drogą bez drzew. Naokół jasno było tak, że można by policzyć igiełki na niskich krzakach jałowcu, rosnącego po drodze. Od czasu do czasu tylko prychnęły konie lub strzemię szczęknęło o strzemię. Spojrzałem na Selima: był zamyślony i oczyma wodził po głębiach nocnych. Miałem nieprzewyciężoną chęć mówić o Hani: potrzebowałem mówić o niej koniecznie; potrzebowałem wypowiedzieć się komu z całodziennych wrażeń, obgadać każde jej słówko, a ani rusz nie umiałem zacząć tej rozmowy z Selimem. Ale Selim zaczął ją pierwszy, bo nagle ni stąd ni zowąd przechylił się ku mnie i objąwszy mnie za szyję, ucałował w policzek i wykrzyknął:

– Ach! mój Henryku! jaka śliczna i miła ta twoja Hania! Niech tam Józio lichu porwie!

Wykrzyk ten zmroził mnie jak nagle tchnienie zimowego wiatru. Nie odpowiedziałem nic, tylko odjąłem rękę Selima ze swojej szyi i odsunąwszy go zimno, jechałem dalej w milczeniu. Widziałem, że się zmieszał bardzo i zamilkł także, a po chwili zwróciwszy się do mnie, rzekł:

– Czy ty się gniewasz o co?

– Dziecko jesteś.

– Możeś zazdrosny?

Zatrzymałem konia.

– Dobranoc ci, Selimie!

Widocznym było, że nie miał ochoty jeszcze się żegnać, ale wyciągnął machinalnie rękę, do uścisku. Potem otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale ja szybko zwróciłem konia i pokłusowałem do domu.

– Dobranoc! – zawołał Selim.

Stał jeszcze chwilę na miejscu, potem z wolna odjechał w swoją stronę.

Zwolniwszy biegu, jechałem stępą. Noc była śliczna, cicha, ciepła; pokryte rosą łąki wydawały się jak rozległe jeziora; z łąk dochodziły mnie głosy derkaczy: bąk huczał w dalekich trzcinach. Podniosłem oczy na gwiazdzisty bezmiar; chciało mi się modlić i płakać.

Nagle usłyszałem za sobą tętent konia. Obejrzałem się: był to Selim. Dogał mnie, zrównał się ze mną i zastąpiwszy mi drogę, rzekł wzruszonym głosem:

– Henryku! wróciłem się, bo tobie coś jest. Z początku pomyślałem: „Jeśli się gniewa, niech się gniewa!” Ale potem zrobiło mi się ciebie żal. Nie mogłem wytrzymać. Powiedz mi, co tobie jest? Może ja za dużo mówiłem z Hanią? Może ty ją kochasz? Henryku?

Łzy ścisnęły mi gardło i nie umiałem na razie nic odpowiedzieć. Ale gdybym był poszedł za pierwszym natchnieniem i rzucił się na poczciwą pierś tego chłopaka i wypłakał się na niej, i wyznał wszystko! Ach! wspomniałem już, że ile razy w życiu przyszło mi zetknąć się z wylaniem serdecznym i samemu serdecznie pierś odkryć, tyle razy jakaś niepohamowana duma przekorna, którą trzeba było łamać jak skałę oskardem, mroziła mi serce i więziła słowa w ustach. Ileż to szczęścia popsuło mi się w życiu przez tę dumę, ileż razy żałowałem jej później! A jednak w pierwszej chwili nie umiałem się jej oprzeć.

Selim powiedział: „Żal mi się ciebie zrobiło!”, a zatem litował się nade mną; to już wystarczało, ażeby mi zamknąć usta.

Milczałem więc, a on patrzył na mnie swymi anielskimi oczyma i mówił z akcentem prośby i skruchy w głosie:

– Henryku! może ty ją kochasz? Ona mi się, widzisz, podobała, ale i na tym koniec. Chcesz, to nie powiem do niej ani słowa więcej. Powiedz: może ty ją już kochasz? Co ty masz do mnie?

– Nie kocham się i do ciebie nie mam nic. Jestem trochę słaby. Zleciałem z konia, rozbiłem się. Ja się wcale nie kocham, tylko zleciałem z konia! Dobranoc ci!

– Henryku! Henryku!

– Powtarzam ci, że zleciałem z konia.

Rozstaliśmy się znowu. Selim ucałował mnie na drogę i odjechał spokojniejszy, bo istotnie prawdopodobnym było, że to upadek podziałał na mnie w ten sposób; ja zaś zostałem sam, z sercem ściśniętym, z jakimś głębokim żalem, ze łzami, które ścisnęły mnie za gardło:

wzruszony dobrocią Selima, zły na siebie i przeklinający się w duszy, zem go odepchnął. Puściłem konia galopem i za chwilę byłem przed domem.

Okna sali bawialnej były oświetlone, dochodził przez nie dźwięk fortepianu. Oddałem konia Frankowi i wszedłem do sali. To Hania grała jakąś piosenkę, której nie znałem: grała sobie, fałszując z całym zaufaniem dyletantki melodię, bo niedawno się zaczęła uczyć, ale aż nadto wystarczająco, aby zachwycić o wiele więcej rozkochaną niż muzykalną moją duszę. Gdy wszedłem, uśmiechnęła się do mnie nie przestając grać, ja zaś rzuciłem się na fotel stojący naprzeciwko i pocałem na nią patrzyć. Przez pulpity widać było jej spokojne, pogodne czoło i regularnie narysowane brwi. Powieki miała spuszczone, bo patrzyła na palce. Grała jeszcze przez czas jakiś, potem ustała i podniósłszy oczy na mnie, rzekła pieściwym, miękkim głosem:

– Panie Henryku?

– Co, Haniu?

– Chciałam się pana o coś spytać... Aha! Zaprosił pan na jutro pana Selima?

– Nie. Ojciec życzy sobie, żebyśmy jutro pojechali do Ustrzycy, bo przyszedł od matki pakiet dla pani Ustrzyckiej.

Hania umilkła i uderzyła kilka cichych akordów, ale widocznie czyniła to tylko machinalnie, myśląc o czym innym, bo po chwili znowu podniosła na mnie oczy:

– Panie Henryku?

– Co, Haniu?

– Chciałam się pana o coś spytać... Aha! Czy bardzo ładna ta Józia z Warszawy, co?

A! tego było już nadto! Gniew, pomieszany z goryczą, ścisnął mi serce. Zbliżyłem się szybko do fortepianu, a usta mi się trzęsły, gdym odpowiedział:

– Nie ładniejsza od ciebie. Bądź spokojna! Możesz śmiało próbować swych wdzięków na Selimie.

Hania aż wstała z taboretu, a gorący rumieniec obraży oblał jej policzki.

– Panie Henryku, co pan mówi?

– To, co ty zamierzasz.

To rzekłszy, chwyciłem za kapelusz, skłoniłem się jej i wyszedłem z pokoju.

VII

Łatwo się domyślić, jak przepędziłem noc po owych całodziennych zmartwieniach. Położywszy się w łóżko, przede wszystkim zapytałem sam siebie, co się stało i dlaczego wyprawiałem takie awantury przez cały dzień? Odpowiedź była łatwa: nic się nie stało, tj. ani Selimowi, ani Hani nie mogłem zarzucić nic takiego, co by nie dało się wytłumaczyć bądź to uprzejmością, obowiązującą wszystkich jednakowo, bądź ciekawością, bądź wzajemną sympatią. Że Selim podobał się Hani, a ona jemu, to było więcej niż pewne; ale jakież miałem prawo burzyć się z tego powodu i mącić spokój wszystkim. Nie oni więc zawinili, tylko ja: ta myśl powinna była mnie uspokoić, ale stało się przeciwnie. Jakkolwiek bądź tłumaczyłem sobie wzajemne ich stosunki, jakkolwiek powtarzałem sobie, że istotnie nic się nie stało; jakkolwiek uznawałem, że niesłusznie wyrządziłem niejedną przykrość obojgu, przecież czułem jakąś niewyraźną groźbę, zawieszoną nad sobą w przyszłości; to zaś, że groźba owa była niewyraźną, że nie dała się uchwycić w formę zarzutu Mirzie lub Hani, czyniło ją dla mnie tym dotkliwszą. Prócz tego pomyślałem sobie jeszcze jedno. Oto, że nie mając prawa nic im zarzucić, mam jednak dostateczny powód być niespokojnym. Były to wszystko subtelności, rzeczy prawie nieuchwycalne, w których umysł mój, do tej pory prosty, płątał się i męczył jak wśród ciemności i manowców. Czułem się po prostu zmęczony i przybity, jakby po odbyciu długiej podróży, a oprócz tego jeszcze jedna myśl, najgorsza i najboleśniej, wracała mi ustawicznie do głowy, że to ja sam, wyraźnie ja, przez swoją zazdrość i przez swoją niezręczność popycham fatalnie ku sobie tych dwoje. O! na tyle świadomości zdobyłem się już wówczas, jakkolwiek nie miałem żadnego doświadczenia. Takie rzeczy się odgaduje. Co więcej: wiedziałem, że wśród owych błędnych ścieżek będę i dalej szedł nie tam, gdzie zechcę, ale tam, gdzie popchnie mnie uczucie i inne nieraz chwilowe i nie znaczące okoliczności, które jednak bywają ważne i od których nieraz szczęście zależy. Co do mnie, byłem bardzo nieszczęśliwy, a chociaż komuś umartwienia owe moje mogą się wydawać błahe, to jednak powiem, że wielkość każdej niedoli nie zależy od tego, jaką ona jest sama w sobie, ale jak ją ktoś odczuwa.

A jednak nic się nie stało! nic się jeszcze nie stało! Leżąc w łóżku powtarzałem sobie te słowa dopóty, aż zwolna myśli poczęły mi się mącić, rozpraszać i wpadać w zwykły bezład senny. Rozmaite obce pierwiastki poczęły mi się pod nie podsuwać. Opowiadania ojcowskie,

osoby i wypadki tych opowiadań łączyły się z chwilą obecną, z Selimem, z Hanią i z moją miłością. Może i miałem trochę gorączki, tym bardziej, żem się potłukł. Knot wypalanej świecy zapadł nagle w lichtarz: pociemniało, potem znów wyskoczył błękitny płomień, potem mniejszy i jeszcze mniejszy, aż wreszcie jeszcze raz konające światło błysnęło potężnie i zagasło. Musiało już być późno; za okiennicą piały koguty; usnąłem ciężkim i niezdrowym snem, z którego rozbudziłem się nieprędko.

Nazajutrz pokazało się, że zasnęłam porę śniadania, a zatem i sposobność widzenia Hani aż do obiadu, bo do godziny drugiej miała lekcje z panią d'Yves. Ale za to, wyspawszy się dobrze, nabrałem otuchy i nie spoglądałem na świat tak czarno. „Będę dla Hani dobry, uprzejmy i tym nagrodzę jej wczorajszą moją opryskliwość” – myślałem sobie. Tymczasem nie przewidziałem jednej okoliczności: oto, że Hani nie tylko dokuczyły ostatnie moje słowa, ale że ją także i obraziły. Gdy Hania zeszła wraz z panią d'Yves na obiad, porwałem się ku niej żywo, i nagle, jakby mnie kto wodą oblał, cofnąłem się na powrót w siebie razem ze swoją serdecznością nie dlatego, żebym chciał to zrobić, ale dlatego, że zostałem odepchnięty. Hania powiedziała mi bardzo grzecznie: „dzień dobry”, ale tak zimno, że od razu odeszła mnie ochota do serdecznych wylewów. Po czym siadła obok pani d'Yves i przez cały obiad nie zdawała się już więcej dostrzegać mojej egzystencji. Wyznaję, że w tej chwili egzystencja owa wydała mi się tak marną i tak opłakana, iż gdyby mi ktoś dawał za nią trzy grosze, powiedziałbym mu, że przepłaca. Cóż jednak miałem robić? Obudziła się we mnie chęć oporu i postanowiłem odplacić Hani taką samą monetą. Dziwna to rola względem osoby, którą się kocha nad wszystko. Prawdziwie mogłem powiedzieć: „Błuźnią ci usta, choć płacze serce!” Przez cały obiad nie mówiliśmy ani razu ze sobą wprost, tylko za pośrednictwem osób trzecich. Gdy Hania, na przykład, mówiła, że nad wieczorem będzie deszcz, zwracała się z tym do pani d'Yves, na co ja również pani d'Yves, a nie Hani, odpowiadałem, że deszczu nie będzie. To dąsanie się i przekomarzanie wzajemne miało nawet dla mnie pewien drażniący urok. „Ciekawy jestem, moja panienko, jak my to będziemy obchodzić się ze sobą w Ustrzycy, bo przecie mamy jechać do Ustrzycy” – myślałem sobie w duchu. Naumyślnie w Ustrzycy spytam ją wobec obcych o coś, ona musi przecie odpowiedzieć i tak te lody pękają! Obiecywałem sobie wiele po tej bytności w Ustrzycy. Wprawdzie miała jechać z nami pani d'Yves, ale co mi to szkodziło! Tymczasem szło mi daleko więcej o to, żeby nikt z obecnych przy stole nie spostrzegł naszych gniewów. „Jeśli ktoś spostrzeże – myślałem – spyta: czy się gniewamy, zaraz wszystko wyjdzie na wierzch i wszystko się wyda!” Na samą myśl o tym rumieniec bił mi na twarz, a obawa ścisnęła serce. Ale, o dziwo! spostrzegłem, że Hania daleko mniej się tego boi niż ja; dalej, że widzi moją

bojaźń i w duszy sobie z niej dworuje. Z kolei czułem się tym upokorzony, ale na razie nie było co robić. Czekala mnie Ustrzyca, więc uchwyciłem się tej myśli jak deski zbawienia.

Ale widocznie myślała o niej i Hania, bo po obiedzie przyniósłszy ojcu kawę czarną, pocałowała go w rękę i rzekła:

– Proszę pana, mogę ja nie jechać do Ustrzycy?

„Ach! jaka niegodziwa! jaka niegodziwa! ta ukochana Hania” – pomyślałem sobie w duszy.

Ale ojciec, który był trochę głuchy, nie dosłyszał od razu, tylko ucałowawszy dziewczynkę w czoło, rzekł:

– Czego tam chcesz, kobietko?

– Mam jedną prośbę.

– Jaką?

– Mogęż nie jechać do Ustrzycy?

– A cóż to, czy chora jesteś?

„Jeżeli powie, że chora – pomyślałem znowu – wszystko przepadło, tym bardziej, że ojciec jest w dobrym humorze.”

Hania jednak nie kłamała nigdy, nawet niewinnie, i dlatego, zamiast spędzić ów brak chęci na ból głowy, odrzekła:

– Nie, zdrowa jestem, ale nie mam ochoty.

– A no, to pojedziesz do Ustrzycy, bo trzeba, żebyś jechała.

Hania dygnęła i nie rzekłszy ani słowa, odeszła. Co do mnie, byłem uradowany z całej duszy i gdyby tylko uchodziło, jakżebym chętnie był pokazał Hani na palcach: zyg, zyg, zyg!

Po chwili jednak, kiedy zostaliśmy z ojcem sami, spytałem go, dlaczego kazał jej jechać.

– Chcę, żeby sąsiedzi przyzwyczaili się widzieć w niej naszą krewną. Hania jadąc do Ustrzycy czyni to niejako w imieniu twojej matki: rozumiesz?

Nie tylko rozumiał, ale chciało mi się ucałować za tę myśl poczciwego ojca.

O godzinie piątej mieliśmy wyjechać. Hania i pani d'Yves ubierały się tymczasem na górze, ja zaś kazałem zaprząć do lekkiego na dwie osoby wolanta, bo sam miałem zamiar jechać konno. Do Ustrzycy było półtorej mili, przy pięknej więc pogodzie mieliśmy przed sobą przejażdżkę nader przyjemną. Gdy Hania zeszła z góry, przybrana wprawdzie czarno, ale starannie, a nawet ozdobnie, bo taka była wola ojca, nie mogłem od niej oczu oderwać. Wyglądała tak ślicznie, że natychmiast uczułem, jak mięknie mi serce, a chęć oporu i sztuczny chłód ulatuje gdzieś za dziewiątą granicę. Ale królowa moja przeszła koło mnie prawdziwie po królewsku, nie spojrzawszy nawet na mnie, choć także wyświeżyłem się,

jakem umiał. Mówiąc nawiasem, była trochę nadąsaną, bo rzeczywiście nie miała ochoty jechać, choć nie było to z chęci dokuczenia mi, ale dla innych, słuszejszych, jak się później przekonałem, powodów.

Punkt piąta siadłem na koń, moje panie do karykla i ruszyliśmy razem. Przez drogę trzymałem się od strony Hani, chcąc wszelkimi sposobami zwrócić jej uwagę na siebie. Jakoż spojrzała raz na mnie, gdy koń mój wspiał się dęba, zmierzyła mnie spokojnym okiem od stóp do głowy; bodaj, czy nie uśmiechnęła się nawet nieznacznie, co na razie bardzo dodało mi otuchy, ale natychmiast zwróciła się do pani d'Yves i zaczęła z nią rozmawiać w ten sposób, że nie mogłem się wtrącać do rozmowy.

Przyjechaliśmy wreszcie do Ustrzycy, gdzie zastaliśmy Selima. Pani Ustrzyckiej nie było w domu, był tylko pan, dwie guwernantki: Francuzka i Niemka i dwie panienki: starsza Lola, rówieśnica Hani, ładna i dość z natury zalotna szatynka, i młodsza Marynia, jeszcze dziecko. Panie, po pierwszych powitaniach, wybrały się zaraz do ogrodu na truskawki, mnie zaś i Selima zabrał ze sobą pan Ustrzycki, aby nam pokazać swoją nową broń i nowe psy na dziki, które sprowadził wielkim kosztem aż z Wrocławia. Wspomniałem już, że pan Ustrzycki był to najzagorzalszy myśliwiec w całej okolicy, a przy tym człowiek bardzo zacny, dobroduszny i równie uczynny, jak bogaty. Miał tylko jedną wadę, która dla mnie czyniła go nudnym, to jest śmiał się ciągle, co kilka słów uderzał się rękoma po brzuchu, powtarzając: „Farsa, mości dobrodzieju! jak się nazywa? co?” Zwano go z tego powodu sąsiad-farsa, albo sąsiad-jak-się-nazywa.

Otóż sąsiad-farsa poprowadził nas do psiarni, nie zważając, że może wolelibyśmy ze sto razy być przy pannach w ogrodzie. Przez jakiś czas słuchaliśmy cierpliwie jego opowiadań, aż wreszcie ja przypomniałem sobie jakiś interes do pani d'Yves, a Selim po prostu rzekł:

– Wszystko to jest bardzo dobre, panie dobrodzieju! Psy są bardzo ładne, ale cóż my zrobimy, kiedy obaj mamy większą ochotę iść do panien?

Pan Ustrzycki uderzył się dłońmi po brzuchu.

– A, farsa, mości dobrodzieju! jak się nazywa? co? No, to idźcie, pójdę z wami!

I poszliśmy. Wkrótce jednak pokazało się, że nie miałem sobie czego tak dalece życzyć. Hania, która jakoś trzymała się na uboczu od swoich towarzyszek, nie przestała mnie zapoznawać i może naumyślnie zajęła się Selimem; mnie zresztą wypadało bawić pannę Lolę. O czym rozmawiałem z panną Lolą, jakim sposobem nie mówiłem niedorzeczności i jak odpowiadałem na jej uprzejme pytania – nie wiem, bo śledziłem ciągle Selima i Hanię, łowiąc uszami słowa ich rozmowy, chwytając spojrzenia i ruchy. Selim nie spostrzegł tego, ale spostrzegła Hania i naumyślnie przyciszała głos lub spoglądała z pewną kokieterią na swego

towarzysza, który pozwalał się tej powodzi łask unosić. „Poczekajże, Haniu – pomyślałem sobie – robisz ty mnie na złość, zrobię ja i tobie.” I tak rozumując zwróciłem się do mojej towarzyszki. Zapomniałem powiedzieć, że panna Lola miała szczególniejszą słabość do mnie i okazywała mi to aż nadto wyraźnie. Począłem, więc być dla niej uprzejmy, dworowałem i śmiałem się, choć chciało mi się więcej płakać niż śmiać, a Lola spoglądała na mnie rozpromieniona swymi wilgotnymi, ciemnoniebieskimi oczyma i poczęła wpadać w romantyczny nastrój.

Ach! gdyby wiedziała, jakem ją nienawidził w tej chwili! A jednak tak dalece byłem przejęty swoją rolą, że popełniłem nawet coś niegodziwego. Oto, gdy panna Lola zrobiła w ciągu rozmowy jakąś złośliwą uwagę o Selimie i Hani, wówczas, jakkolwiek zatrząśłem się w duszy z gniewu, przecie nie odpowiedziałem jej, jak należało, ale uśmiechnąłem się tylko dość głupio i zbyłem, ją milczeniem. Chodziliśmy w ten sposób z godzinę, następnie podano podwieczorek pod płaczącym kasztanem, którego gałęzie zniżając się końcami aż do ziemi, tworzyły jakby zieloną kopułę nad naszymi głowami. Teraz dopiero zrozumiałem, że Hania nie tylko dla mnie nie chciała jechać do Ustrzycy, ale miała swoje bardziej uzasadnione przyczyny.

Była to po prostu rzecz taka: pani d’Yves, jako pochodząca ze starej szlachty francuskiej i wreszcie więcej od innych nauczycielek wykształcona, uważała się za coś lepszego od Francuzki, a zwłaszcza od Niemki z Ustrzycy; te zaś obie uważały się z kolei za coś lepszego od Hani, ponieważ dziadek jej był służącym. Ale dobrze wychowana pani d’Yves nie dawała im tego uczuć, one zaś wyraźnie, aż do niegrzeczności lekceważyły Hanię. Były to zwykłe babskie kwasy i ambicyjki, ale nie mogłem pozwolić, żeby moja droga Haniulka, sto razy zresztą więcej warta od całej Ustrzycy, miała być ich ofiarą. Hania lekceważenie owo znosiła z taktem i słodyczą, czyniącą zaszczyt jej charakterowi: było to jej jednak przykro. Gdy pani Ustrzycka była obecna, nic podobnego nie miało nigdy miejsca, ale w tej chwili obie guwernantki korzystały właśnie z dobrej sposobności. Jak tylko Selim usiadł koło Hani, zaraz zaczęły się szeptki i przycinki, w których po trochu i panna Lola, zazdroszcząca Hani piękności, brała udział. Odparłem owe docinki kilkakrotnie ostro, może zbyt nawet ostro, ale wkrótce zastąpił mnie, mimo mej woli, Selim. Widziałem, że błyskawica gniewu przemknęła po jego brwiach, ale wkrótce opamiętał się i uspokojony zwrócił szyderczy wzrok na guwernantki. Cięty, dowcipny i wygadany, jak mało kto w jego wieku, wkrótce tak dalece zbił je z tropu, że nie wiedziały, gdzie się podziać. Pomagała mu w tym pani d’Yves swoją powagą i ja, który zresztą chętnie byłbym wybił obie cudzoziemki. Panna Lola nie chcąc mnie zrażać, przeszła także na naszą stronę i lubo nieszczerze, poczęła okazywać Hani dwa

razy więcej, niż zwykle, uprzejmości. Słowem: tryumf nasz był zupełny, na nieszczęście jednak i ku wielkiemu memu umartwieniu, główna zasługa spadła i tym razem na Selima. Hania, która mimo całego taktu, z wysileniem wstrzymywała łzy, cisnące się jej do oczu, poczęła spoglądać na Selima jak na swego wybawcę, z wdzięcznością i uwielbieniem. Toteż, kiedyśmy wstali od stołu i znowu poczęli chodzić parami po ogrodzie, usłyszałem, jak Hania pochyliła się ku Selimowi i szepnęła wzruszonym głosem:

– Panie Selimie! ja panu bardzo...

I urwała nagle, bo bała się rozplakać, a wzruszenie mimo jej woli brało nad nią górę.

– Panno Hanno! nie mówmy o tym. Niech pani na to nie uważa i... niech się pani nie martwi.

– Toteż widzi pan, jak mi trudno o tym mówić; ale chciałam panu podziękować.

– I za co? Panno Hanno! i za co? Ja nie mogę znieść łez w pani oczach. Ja bym dla pani chętnie...

Teraz z kolei on nie dokończył, bo nie umiał znaleźć wyrazu, a może w porę spostrzegł, że zbyt pozwala się unosić uczuciom, jakich miał pełne piersi; więc tylko zmieszany odwrócił głowę, by nie dać poznać wzruszenia, i umilkł.

Hania patrzyła na niego rozświetlonymi od łez oczyma, a ja wtedy już nie pytałem, co się stało.

Kochałem Hanię całą mocą młodej duszy, ubóstwiałem ją; kochałem ją tak, jak w niebie tylko kochają; kochałem jej postać, kochałem jej oczy, każdy promień włosów, dźwięk mowy; kochałem każdą jej sukienkę, powietrze, którym oddychała, a miłość ta przenikała mnie na wskroś i była nie tylko w sercu, ale w całej mojej istocie, żyłem tylko w niej i przez nią, płynęła we mnie jak krew, biła ode mnie jak ciepło. Dla innych może istnieje coś obok miłości, dla mnie cały świat istniał w niej, nic poza nią. Dla świata byłem ślepy, głuchy i głupi, bo rozum i zmysły zająłem tym jednym tylko uczuciem. Czulem, że płonę jakby rozpalona pochodnia, i że trawi mnie ten płomień, i że ginę, i że umieram. Czym była ta miłość? Wielkim głosem, wielkim, wołaniem duszy na drugą duszę: „Moja ubóstwiona, moja święta, moja kochana, usłysz mnie!” Otóż nie pytałem już, co się stało, bom zrozumiał, że nie mnie, nie mnie to odpowiadała Hania na tę serdeczną prośbę. Wśród obojętnych ludzi człowiek spragniony kochania chodzi jak w lesie i huka, i nawołuje jak w lesie, czekając, czy nie odpowie mu głos sympatyczny, więc jeszcze i dlatego nie pytałem już, co się stało, bom przez własną miłość i przez własne próżne wołanie przeczuł i usłyszał dwa sympatyczne głosy: Selima i Hani! Wołali się wzajemnie głosami serc, wołali się na nieszczęście moje, sami o tym nie wiedząc. Jedno drugiemu było niby echem leśnym i jedno szło za drugim, jak

echo idzie za głosem. I cóżem ja mógł poradzić przeciw tej konieczności, którą oni mogli zwać szczęściem – ja: nieszczęściem? Cóżem mógł poradzić przeciw temu porządkowi natury, przeciw tej fatalnej logice rzeczy? Jak zdobyć serce Hani, skoro jakaś siła nieprzeparta kłoni ją w inną stronę?

Odłączyłem się od towarzystwa i siadłem na ławce ogrodowej, a myśli podobne szumiały mi w głowie jak zwichrzone stada ptactwa. Ogarnął mnie szal cierpienia i rozpacz. Czułem, że pośród rodziny, pośród życzliwych serc byłem jednak tak samotny; świat cały wydał mi się tak pusty, sierocy, niebo nade mną tak na krzywdę ludzką obojętne, że mimo woli jedna myśl zapanowała we mnie nad innymi i pochłonęła wszystkie, i pokryła swym ponurym spokojem. Imię jej było: śmierć. A potem: wyjście z tego błędnego koła i koniec cierpień, i rozwiązanie całej tej smutnej komedii, i rozcięcie wszystkich bolesnych węzłów opasujących duszę, i wypoczynek po umęczeniu; ach! ten wypoczynek, którego tak byłem spragniony: wypoczynek ciemny, wypoczynek nicości, ale cichy, wiekuisty!

Byłem jak człowiek zmorzony łzami, cierpieniem i snem. „Usnąć mi! usnąć! – myślałem sobie – za jakąkolwiek cenę, choćby za cenę życia.” Potem zaś ze spokojnych, ogromnych błękitów niebieskich, dokąd uciekła dawna moja wiara dziecinna, przyleciała jeszcze jedna myśl jak ptak i usiadła mi na mózgu. Myśl ta zawarta była w krótkich słowach:

A jeśli?

Było to nowe koło, w które wplatałem się na mocy nieubłaganej konieczności. Oh! cierpiałem bardzo, a tam z sąsiedniej alei dochodziły mnie wesołe słowa lub ciche półsłowa rozmawiających, koło mnie pachniały kwiaty, na drzewach świegotały ptaki, udające się na spoczynek; nade mną wisiało pogodne niebo, zarumienione zorzą zachodnią; wszystko było spokojne, szczęśliwe, ja sam tylko zbolały i z zaciśniętymi zębami pragnąłem umrzeć wśród tego rozkwitu życia.

Nagle drgnąłem: przede mną zaszeleściała suknia kobieca.

Spojrzałem: była to panna Lola. Cicha była jakaś i łagodna, patrzyła na mnie ze współczuciem, a może i więcej jak ze współczuciem. Wśród blasków wieczora i cieniów, rzucanych przez drzewa, wydawała się blada: rozwiane, niby przypadkiem, bujne warkocze spływały jej na ramiona.

W tej chwili nie uczułem do niej nienawiści. Duszo, jedyna, litościwa! – pomyślałem – czy przychodzisz mnie pocieszyć?

– Panie Henryku! pan smutny jakiś, może cierpiący?

– O tak, pani! Cierpiący jestem – zawołałem z wybuchem i porwawszy jej rękę, przyłożyłem ją sobie do rozpalonego czoła, potem pocałowałem ją gwałtownie i uciekłem.

– Panie Henryku! – zawołała na mnie z cicha.

A jednocześnie na skrócie ulicy ukazali się Selim i Hania. Oboje widzieli mój wybuch: widzieli, jak całowałem i przyciskałem do czoła rękę Loli; widzieli to oboje, więc uśmiechnięci zamienili z sobą wejrzenia, jakby mówiąc sobie wzajemnie:

– Rozumiemy, co się to znaczy.

Ale tymczasem pora była odjechać do domu. Selimowi droga zaraz za kołowrotem wypadała w inną stronę, obawiałem się jednak, czy nie zechce nas odprowadzać, z pośpiechem siadałem na koń i mówiłem głośno, że już późno, że na nas i na Selima czas. Żegnając się, otrzymałem od panny Loli dziwnie gorący uścisk ręki, na który nie odpowiedziałem, i ruszyliśmy w drogę.

Selim zaraz za kołowrotem zawrócił, ale pierwszy raz pocałował na dobranoc Hanię w rękę i Hania mu tego nie bronila.

Przestała mnie już zapoznawać. Była w usposobieniu zbyt łagodnym, żeby pamiętać ranne gniewy, ale ja tłumaczyłem sobie to usposobienie jak najgorzej.

Pani d'Yves zaraz po kilku minutach usnęła i poczęła się kiwać na wszystkie strony. Spojrzałem na Hanię, nie spała; oczy jej były otwarte szeroko i błyszczące jakby ze szczęścia.

Nie przerywała wcale milczenia, była widocznie zbyt zajęta własnymi myślami. Dopiero blisko domu spojrzała na mnie, a widząc, że jestem tak zamyślony, rzekła:

– O czym pan tak myśli, czy o Loli?

Nie odpowiedziałem ani słowa, tylko ścisnąłem zęby i pomyślałem: „Szarp, szarp mnie, kiedy ci to sprawia przyjemność, ale nie wyciśniesz ze mnie ani jęku”.

Ale Hani rzeczywiście ani się śniło mnie szarpać.

Zadała pytanie, bo miała prawo je zadać.

Zdziwiona moim milczeniem, powtórzyła pytanie raz jeszcze. Znowu nie odpowiedziałem nic. Myślała więc, że to są dąsy, trwające jeszcze od rana, i także umilkła.

VIII

Rankiem kilka dni później pierwsze, rumiane blaski porannej *zorzy* wpadły przez serce, wykrojone w okiennicy, i zbudziły mnie ze snu. Wkrótce zapukał ktoś w okiennicę i w różnym otworze ukazała się nie twarz Zosi Mickiewiczowskiej, która w podobny sposób

budziła Tadeusza, ani też mojej Hani, ale wąsata twarz Wacha, leśniczego, a gruby głos zawołał:

– Paniczu!

– A co tam?

– Wilki gonią za wilczycą w Pohorowych chaszczach. Mieliśmy iść na wabia.

– Zaraz!

Ubrałem się: wziąłem strzelbę, nóż myśliwski i wyszedłem. Wach stał cały mokry od rosy porannej z długą, zardzewiałą pojedynką na plecach, z której jednak nie zdarzyło mu się nigdy chybić. Ranek był wczesny: słońce jeszcze nie weszło ani ludzie nie wyszli do roboty, ani bydło w pole. Niebo tylko barwiło się błękitnie, różowo i złociście na wschodzie, a na zachodzie było surowe.

Swoją drogą staremu było pilno.

– Mam bidę i szkapę. Pojedziemy ku wykrotom – rzekł.

Siedliśmy i pojechali. Zaraz za stodołami zając wyskoczył z owsa i przebiegłszy nam drogę, skoczył na łąkę, znacząc ciemniejszymi ślady srebrną od rosy jej powierzchnię. Stary rzekł:

– Kot przez drogę! Na psa urok!

A potem dodał:

– Późno już. Niedługo ziemia cień chwyci.

Znaczyło to, że niedługo słońce zejdzie, bo przy blasku zorzy ciało nie rzuca cienia na ziemię.

– A to przy cieniu źle? – spytałem.

– O wielkim to tam jako tako; ale o małym próżna robota.

W języku nie myśliwskim znaczyło to znów: im później, tym gorzej, bo wiadomo, że im bliżej południa, tym cień mniejszy.

– Odkąd poczniemy? – spytałem.

– Od wykrotów, ale w samych Pohorowych chaszczach.

Pohorowe chaszczce była to część lasu nadzwyczaj zarosła, gdzie znajdowały się wykroty, to jest jamy pod korzeniami starych drzew, wywróconych przez burzę.

– I na wabia myślicie, Wachu, że się uda?

– Pocznę grać na basiora, może jaki basior wyjdzie.

– A może i nie.

– E! tak i wyjdzie.

Dojechawszy do chaty Wacha, zostawiliśmy konia i bidę chłopcu, sami zaś udaliśmy się piechotą. Po półgodzinnej drodze, kiedy słońce zaczęło wschodzić, zasiedliśmy w wykrotach.

Koło nas naokół była gęstwa nieprzebita drobnych zarośli; gdzieniegdzie rosły tylko wielkie drzewa, wykrot zaś był taki głęboki, że schowaliśmy się weń z głowami.

– Teraz plecami – mruknął Wach.

Usiedliśmy do siebie plecami, tak że nad powierzchnię gruntu wystawały nam tylko czubki głów i lufy strzelb.

– Czuj! – rzekł Wach. – Poczynam grać.

Włożywszy dwa palce w usta i modulując nimi przeciągły głos, Wach zagrał jak basiora, to jest zawył jak wilczyca wabiąca wilków.

– Czuj!

I przyłożył ucho do ziemi.

Ja nie usłyszałem nic, ale Wach oderwał twarz od ziemi i szepnął:

– Gra, ale daleko. Będzie pół mili.

Potem czekał z kwadrans i znów zawył przebierając palcami w ustach. Żaloszny a złowrogi głos przebił gęstwinię i daleko, daleko leciał po mokrej ziemi, odbijając się od sosny do sosny.

Wach na nowo przyłożył ucho do ziemi.

– Gra! jest nie dalej jak półtory wiorsty.

Jakoż rzeczywiście i ja usłyszałem teraz jakby odległe echo wycia, dalekie jeszcze bardzo, zaledwie dosłyszalne, ale dające się już wśród szelestu liści rozróżnić.

– Skąd wyjdzie? – spytałem.

– Na panicza.

Wach zawył trzeci raz: wycie odpowiedziało już blisko. Ścisnąłem mocniej strzelbę w rękę, a obaj zatamowaliśmy dech w piersiach. Cisza była niezmierna, wiatr tylko strząsał krople rosy z leszczyny, które spadały szemrząc po liściach. Z daleka, z innej strony lasu, doszło nas tokowanie głuszca.

Nagle o jakie trzysta kroków zamajaczyło coś w gęstwinię, krzaki jałowcowe poruszyły się żywo i spośród ciemnych igieł wynurzyła się szara trójkątna głowa ze śpiczastymi uszami i czerwonymi oczyma. Strzelać nie mogłem, bo było jeszcze zbyt daleko, więc czekałem cierpliwie, lubo z bijącym sercem. Wkrótce całe zwierzę wynurzyło się z jałowca i w kilku niewielkich skokach podbiegło ku wykrotowi, wietrząc pilnie na wszystkie strony. Na sto pięćdziesiąt kroków wilk zatrzymał się i nastawił uszy, jakby coś przeczuł. Wiedziałem, że bliżej już nie podejdzie, i pociągnąłem za cyngiel.

Huk strzału zmieszał się z bolesnym zaskowyczeniem basiora. Wyskoczyłem z wykrotu. Wach za mną, ale wilka nie znaleźliśmy na miejscu. Wach jednak obejrzał pilnie miejsce, gdzie rosa starta była na polance, i rzekł:

– Farbuje!

Rzeczywiście na trawie były ślady krwi.

– Nie pudło, choć daleko! nie pudło; farbuje, o! farbuje, trzeba za nim iść.

A więc i poszliśmy. Gdzieniedzie trafialiśmy na potłuczoną trawę i większe ślady krwi; znać było, że ranne wilczysko od czasu do czasu wypoczywa. Ale tymczasem upłynęła godzina drogi po gąszczach i chaszczach, potem druga; słońce było już wysoko; uszliśmy ogromny kawał drogi nie znalazłszy nic prócz śladów, które zresztą czasem niknęły zupełnie. Potem trafiliśmy na kąt lasu; ślady szły ze dwie wiorsty polem w kierunku stawu i wreszcie ginęły na błotach, porośłych trzciną i tatarakiem. Dalej nie można było iść bez psa.

– Już on tam zostanie, a ja jutro go znajdę – rzekł Wach i zawróciliśmy do domu.

Wkrótce przestałem myśleć i o wilku, i o Wachu, i o niefortunnym trochę rezultacie polowania, a natomiast wróciłem do zwykłego mego koła utrapień. Kiedy zbliżaliśmy się do lasu, zając wyrwał mi się prawie spod nóg, a ja zamiast strzelić do niego, drgnąłem tylko jakby rozbudzony z zamyślenia.

– A! panie! – zawołał z oburzeniem Wach – do rodzzonego brata bym strzelił, żeby mi się tak pomknął.

Ale ja uśmiechnąłem się tylko i szedłem dalej w milczeniu. Przechodząc przez leśną drogę, tak zwaną „ciociną dróżkę”, wiodącą do gościńca ku Chorzelom, ujrzałem na mokrej ziemi świeże ślady podkutych kopyt końskich.

– Nie wiecie, Wachu, co to mogą być za ślady? – pytam.

– Mnie się widzi, że to panicz z Chorzel tędy przejechał do dworu – odparł Wach.

– A to i ja pójde do dworu – odpowiedziałem. – Bądźcie zdrowi, Wachu!

Wach począł mnie nieśmiało prosić, bym wstąpił do jego chaty, do której było niedaleko, posilić się trochę. Wiedziałem, że jeśli mu odmówię, zrobię mu wielką przykrość, a jednak odmówiłem, obiecawszy tylko przyjść nazajutrz rano. Ale nie chciałem, by Selim i Hania zostawali długo sam na sam, beze mnie. Przez te pięć dni, które upłynęły od czasu wizyty w Ustrzycy, Selim bywał wprawdzie codziennie. Wzajemna sympatia dwojga młodych rozwijała się szybko pod moimi oczyma. Ale też pilnowałem ich jak oka w głowie i dziś pierwszy raz zachodził wypadek, że mogli zostać z sobą dłużej sam na sam. „A nuż – myślałem sobie – przyjdzie między nimi do wyznania” – i czułem, że blednę, jak ten, co traci nadzieję nadziei.

Bąłem się tego jakby jakiegoś nieszczęścia, jakby niecofnionego wyroku śmierci, o którym się wie, że nadejść musi, ale który człek odwłóczy, ile mu sił stanie.

Wróciwszy do domu, na dziedzińcu spotkałem księdza Ludwika, ubranego w worek na głowie, otaczający drucianą siatkę na twarz. Ksiądz Ludwik wybierał się do pasieki.

– Czy Selim tu jest, księżę Ludwiku? – spytałem.

– Jest, będzie z półtorej godziny, jak przyjechał.

Serce zadrgało mi niespokojnie.

– A gdzie go znajdę?

– Wybierali się na staw z Hanią i Ewunią.

Pobiegłem szybko do ogrodu nad brzeg stawu, gdzie stały czółna. Rzeczywiście, jednego z większych czółen brakło; spojrzałem na staw, ale zrazu nie mogłem nic dojrzeć. Domyśliłem się, że Selim musiał skrócić na prawo ku olszynom, skutkiem czego czółno wraz z jadącymi zasłonięte było przez rosnące po brzegach trzciny. Schwyciłem wiosło i wskoczywszy w małą jednoosobową łódkę, ruszyłem cicho na staw, trzymając się trzciny i nie wyjeżdżając z nich całkowicie, tak aby widzieć nie będąc widzianym.

Jakoż wkrótce ujrzałem ich. Na obszernej, nie porośniętej trzcina przestrzeni tkwiło nieruchomie czółno: wiosła były zwieszane. Na jednym jego końcu siedziała, odwrócona od Hani i Selima, mała siostrzyczka moja Ewunia, na drugim końcu ich dwoje. Ewunia, pochylona ku wodzie, uderzała w nią wesoło rączkami i całkiem była zajęta tą zabawą; Selim zaś i Hania, prawie oparci o siebie ramionami, zdawali się zatopieni w rozmowie. Najmniejszy powiew wietrzyka nie marszczył przezroczystej, błękitnej toni, a czółno, Hania, Ewunia i Selim odbijali się w niej jak w zwierciadle, spokojnie i nieruchomie.

Był to może bardzo piękny obrazek, ale na widok jego krew uderzyła mi do głowy. Zrozumiałem wszystko: wzięli ze sobą Ewunię, bo dziecina nie mogła im przeszkadzać ani rozumieć miłosnych wyznań. Wzięli ją dla pozorów. „Stało się!” pomyślałem sobie; „stało się!” zaszumiały trzciny. „Stało się!” wybelkotała fala, uderzająca o brzeg mojej łódki, i w oczach mi pociemniało; uczułem zimno i gorąco, uczułem, że bladeść pokrywa mi twarz! „Straciłeś Hanię! straciłeś!” wołały jakieś głosy nade mną i we mnie. A potem usłyszałem, jakby też same głosy wołały: „Jezus, Maria!”, a potem jeszcze mówiły: „Przysuń się bliżej i ukryj się w trzcinach, zobaczysz więcej!” Usłuchałem i podciągnąłem się z łódką cicho jak kot. Ale i z tej odległości nie mogłem słyszeć rozmowy, widziałem tylko lepiej; siedzieli obok siebie, na jednej ławeczce, nie trzymając się za ręce, Selim jednak zwrócony był ku Hani; zdawało mi się przez chwilę, że klęka przed nią, ale mi się to tylko zdawało. Zwrócony był ku niej i patrzył na nią błagalnie: ona zaś nie patrzyła na niego, ale jakby oglądała się na wszystkie

strony niespokojnie, potem zaś podniosła oczy ku niebu. Widziałem, że była zmieszana; widziałem, że on błagał o coś; widziałem wreszcie, jak złożył ręce przed nią, jak ona zwolna, zwolna zwracała główkę i oczy ku niemu: jak wreszcie zaczęła się ku niemu pochylać, ale nagle oprzytomniawszy drgnęła i odsunęła się na sam brzeżek łodzi, a wówczas on schwycił ją za rękę niby obawiając się, żeby nie spadła w wodę. Widziałem, że nie puścił już tej ręki, a potem nie widziałem już nic więcej, bo chmura zasłoniła mi oczy. Wypuściłem wiosło z ręki i padłem na dno łodzi.

„Ratunku! ratunku, Boże—wołałem w duszy—tu zabijają człowieka!” Czułem, że brak mi tchu. O! jakże ja ją kochałem i jakież byłem nieszczęśliwy! Leżąc na dnie łodzi i szarpiąc ze wściekłości na sobie ubiór, czułem zarazem całą bezsilność tej wściekłości. Tak jest, byłem bezsilny, bezsilny jak atleta ze związanymi rękoma, bo i cóż mogłem uczynić? Mogłem zabić Selima, siebie; mogłem uderzyć swoją łodzią o ich łódź i zatopić w falach oboje, ale nie mogłem wydrzeć z serca Hani miłości dla Selima i zabrać dla siebie wyłącznie, niepodzielnie!

Ach! to poczucie bezsilnego gniewu, to przekonanie: nie ma rady! w tej chwili gorsze było prawie od wszystkich innych. Zawsze wstydziałem się płakać nawet przed samym sobą. Jeśli ból wyciskał mi gwałtownie łzy z oczu, to niemniej gwałtownie wstrzymywała je duma. Ale teraz załamała się wreszcie bezsilna wściekłość, szarpiąca mi piersi, i wobec tej samotni, wobec tej łodzi z zakochaną parą, odbijającej się w lustrzanej fali, wobec spokojnego nieba i tych trzciny, szeleszczących smutno nad moją głową, i ciszy, i moich nieszczęść, i mojej niedoli – wybuchnąłem ogromnym łkaniem, jedną wielką falą łez i leżąc na wznak, z rękoma splecionymi nad głową, ryczałem prawie z żalości, wielkiej, niewypowiedzianej.

Potem osłabłem. Napadło mnie jakieś odrętwienie. Zmysły prawie przestały działać, uczułem zimno w końcach rąk i nóg. Słabo mi było i coraz słabiej. Myślałem resztkami myśli, że to już zbliża się śmierć i uspokojenie wielkie, a lodowate. Zdawało mi się, że ta posepna, grobowa władczyni bierze mnie w swoje posiadanie, więc witałem ją spokojnym, szklistym okiem. „Skończyło się” – myślałem i niby wielki jakiś ciężar spadł mi z piersi.

Ale nie skończyło się nic. Jak długo tak leżałem na dnie łódki, nie umiałem sam sobie zdać sprawy. Na niebieskim sklepieniu przed oczyma mymi przesuwaly się czasem lekkie, puszyste chmurki, czasem przeleciały, kwiląc żałośnie, to czajki, to żurawie. Słońce weszło wysoko na niebie i paliło żarem. Ustał wiatr, przestały szemrać tkwiące nieruchomo trzciny. Obudziłem się jakby ze snu i począłem się rozglądać naokoło. Czółna z Hanią i Selimem już nie było. Cisza, spokój i upojenie, panujące w całej naturze, dziwną stanowiły sprzeczność ze stanem sennego odrętwienia, z którego obudziłem się przed chwilą. Naokoło wszystko było spokojne, uśmiechnięte. Ciemnoszafirowe koniki wodne siadły na zrębach łódki i na płaskich

jak tarcze liściach nenufarów; maleńkie szare ptaszki kołysały się po trzcinach, gwarząc słodko; gdzieś słychać było pracowite brzęczenie zabłąkanej na wodach pszczołki; czasem z tataraku ozwały się dzikie kaczki; cyranki wyprowadzały swoje młode na polanki wodne. Królestwa i rzeczypospolite ptasie odchyłały oczom. moim zasłonę swego codziennego życia, ale ja nie zważałem na nic. Senność moja jeszcze nie przeszła. Dzień był znojny, czułem nieznośny ból głowy, więc wychyliwszy się z czołna chwyciłem dłońmi wodę i piłem ją spieczonymi ustami. Wróciło mi to trochę siły. Wziąwszy wiosło, ruszyłem między szuwarami do domu, ile że już i późno było, a w domu pewno pytano o mnie.

Po drodze próbowałem uspokajać się. „Jeżeli Selim i Hania wyznali sobie, że się kochają, to może i lepiej się stało” – myślałem. Przynajmniej skończyły się przeklęte dni niepewności. Nieszczęście odchyliło przyłbicę i stoi przede mną z jasną twarzą. Znam je i muszę z nim walczyć. Dziwna rzecz, myśl ta poczęła nawet mieć dla mnie pewien bolesny urok. Ale nie miałem jeszcze pewności i postanowiłem sobie wybadać zręcznie Ewunię, przynajmniej o tyle, o ile to było możliwym.

Trafiłem do domu na obiad. Z Selimem przywitałem się zimno i siadłem do stołu w milczeniu. Ojciec spojrział na mnie i zawołał:

– Co tobie jest, czyś nie chory?

– Nie. Zdrów jestem, tylko zmęczony. Wstałem o trzeciej rano.

– Dlaczego?

– Chodziliśmy z Wachem na wilki. Postrzeliłem wilka. Później położyłem się spać i trochę mnie głowa boli.

– A przejrzyj no się w lustrze, jak wyglądasz.

Hania przestała na chwilę jeść i przypatrywała mi się pilnie.

– Może to wczorajsza wizyta w Ustrzycy tak podziałała na pana, panie Henryku? – rzekła.

Spojrzałem jej prosto w oczy i spytałem prawie ostro:

– Jak to rozumiesz?

Hania zmieszała się i poczęła coś niewyraźnie tłumaczyć. Selim przyszedł jej w pomoc.

– No, to bardzo naturalne. Kto się kocha, ten mizernieje.

Zacząłem spoglądać na przemiany to na Hanię, to na Selima i odpowiedziałem z wolna, dobitnie, kładąc nacisk na każdą sylabę:

– Nie widzę, żebyście zmizernieli: ani ty, ani Hania.

Pąsowy rumieniec oblał twarze obojga. Nastąpiła chwila bardzo kłopotliwego milczenia. Ja sam nawet byłem niepewny, czy nie za daleko się posunąłem; szczęściem jednak, ojciec nie

wszystko słyszał, co się mówiło, ksiądz Ludwik zaś wziął to za zwykłe przekomarzanie się młodych.

– A to osa z żądłem! – wykrzyknął zażywszy tabaki.

– A to was wziął. A widzicie: nie zaczepiajcie go.

O, Boże! jakże mnie mało ten mój tryumf pocieszał i jakże chętnie zrzekłbym się go za przegraną Selima!

Po obiedzie, przechodząc przez salon, spojrzałem w lustro. Rzeczywiście wyglądałem jak Piotrowin. Oczy miałem podsiniałe, twarz zapadłą. Wydało mi się, że zbrzydłem ogromnie, ale to teraz było mi już wszystko jedno.

Poszedłem szukać Ewuni. Obie siostrzyczki, które obiad jadały wcześniej od nas, były w ogrodzie, gdzie była urządzona gimnastyka dziecinna. Ewunia siedziała niedbale na drewnianym stołku, zawieszonym na czterech sznurach u poprzecznej belki huśtawki. Siedząc rozprawiała sama z sobą, potrząsając od czasu do czasu lokami swej złotej główki i przebierając nóżkami.

Ujrawszy mnie uśmiechnęła się i wyciągnęła małe rączki. Wziąłem ją na ręce i poszedłem w głąb alei.

Potem siadłem na ławce i postawiwszy Ewunię przed sobą, spytałem:

– Cóż tam Ewunia dziś robiła cały dzień?

– Ewunia jeździła na spacel z mężiem i Hanią – odpowiedziała przechwalając się dziewczynka. Selima nazywała Ewunia swoim mężem.

– A czy Ewunia była grzeczna?

– Była.

– Ha! bo grzeczne dzieci to zawsze przysłuchują się, co starsi mówią, i uważają, żeby się czegoś nauczyć. A czy Ewunia pamięta, co Selim mówił z Hanią?

– Zapomniałam.

– Ej, może choć trochę Ewunia pamięta?

– Zapomniałam.

– Niegrzeczna jesteś! Niech Ewunia sobie zaraz przypomni, bo nie będę kochał Ewuni.

Dziewczynka zaczęła trzeć piąstką jedno oko, a drugim załzawionym poglądała na mnie spod czoła i nachmurzywszy się jakby do płaczu, z podkówką na ustach, odrzekła już drgającym od łez głosem:

– Zapomniałam.

Cóż mogło mi odpowiedzieć biedactwo? Doprawdy wydałem się sam sobie głupim, a zarazem wstyd mi się jakoś zrobiło mówić dwoistym językiem do tego niewinnego aniołka: o

co innego pytać, czego innego chcieć się dowiedzieć. Przy tym Ewunia była pieszczotą całego domu i moją, więc nie chciałem jej dłużej udręczać. Ucałowałem ją tedy w buzię, pogłaskałem i puściłem. Dziewczynka pobiegła zaraz na huśtawkę, ja zaś odszedłem taki mądry jak i poprzednio, jednakże z przekonaniem w duszy, że wyznanie między Selimem i Hanią już nastąpiło.

Nad wieczorem dnia tego Selim rzekł do mnie:

– Nie zobaczę cię przez tydzień, jadę.

– Gdzie? – spytałem obojętnie.

– Ojciec mi każe – odrzekł – odwiedzić stryja w Szumnej; muszę tam zabawić z jaki tydzień.

Spojrzałem na Hanię. Wiadomość ta nie wywołała na jej twarzy żadnego wrażenia. Widocznie Selim mówił już z nią poprzednio.

Natomiast uśmiechnęła się i podniósłszy oczy od robótki, patrzyła na Selima figlarnie trochę, trochę przekornie, potem zaś rzekła:

– A czy pan z wielką ochotą tam jedzie?

– Jak bryś na łańcuch! – odpowiedział szybko; ale pomiarkował się w czas i widząc, że pani d'Yves, która nie znosiła najmniejszej trywialności, krzywi się trochę, dodał:

– Przepraszam za wyrażenie, ja stryja kocham, ale widzi pani... mnie tu... blisko... pani d'Yves, lepiej.

I mówiąc to rzucił romansowe spojrzenie na panią d'Yves, co pobudziło do śmiechu wszystkich, nie wyjmując i pani d'Yves, która lubo obraźliwa, miała do Selima szczególniejszą słabość. Wzięła go jednak lekko za ucho i z dobrotliwym uśmiechem rzekła:

– Młody człowieku, mogłabym być twoją matką!

Selim pocałował ją w rękę i była zgoda, ja zaś pomyślałem sobie: „Jaka to jednak różnica między mną a tym Selimem. Gdybym ja tak posiadał wzajemność Hani, to bym tylko marzył i patrzył w niebo. Gdzieby mi tam było do żartów, a on i śmiał się, i żartował, i był wesoły, tak jakby nigdy nic.”

Kiedy nawet promieniował ze szczęścia, czynił to zawsze wesoło.

Na samym odjeździe rzekł do mnie:

– Wiesz, co ci powiem: jedź ze mną!

– Nie pojedę. Nie mam wcale zamiaru.

Zimny ton tej odpowiedzi uderzył jakoś Selima.

– Dziwny ty się jakiś stałeś – odparł. – Nie poznaję cię od niejakiego czasu, ale...

– Dokończ.

– Ale zakochanym wszystko się wybacza.

– Z wyjątkiem, jeśli nam w drogę wchodzi – odpowiedziałem głosem kamiennego Komandora.

Selim uderzył mnie przenikliwym spojrzeniem jak błyskawicą i sięgnął mi aż do dna duszy.

– Co ty mówisz?

– Mówię, że nie pojedę, a po wtóre, że nie wszystko się przebacza!

Gdyby nie to, że przy tej rozmowie wszyscy byli obecni, Selim zapewne natychmiast postawiłby jasno całą sprawę. Ja jednak nie chciałem jej stawić jasno, póki nie miałem pewniejszych dowodów. Widziałem jednak, że ostatnie moje słowa zaniepokoiły Selima, a strwożyły Hanię. Pokręcił się jeszcze chwilę, zwłócząc odjazd pod błahymi pozorami, a potem upatrzwszy chwilę, rzekł do mnie z cicha:

– Siądź na koń i odprowadź mnie. Chcę z tobą pomówić.

– Innym razem – odpowiedziałem głośno. – Dziś czuję się trochę słaby.

IX

Selim istotnie odjechał do stryja i bawił tam nie tydzień, ale dni dziesięć. Smutno płynęły nam te dni w Litwinowie. Hania zdawała się mnie unikać i poglądała na mnie jakby z tajoną obawą. Nie miałem wprawdzie zamiaru rozmawiać z nią szczerze o niczym, bo pętała mi słowa na ustach duma, ale ona, nie wiem już dlaczego, urządziła tak sprawy umyślnie, że nie byliśmy ani przez chwilę sam na sam. Zresztą tęskniła widocznie. Zmizerniała aż i schudła, a ja, ze drżeniem patrząc na jej tęsknotę, myślałem: „Więc to nie kaprys dziewczęcy, przelotny, ale na nieszczęście uczucie prawdziwe i głębokie!” Sam zresztą byłem rozdrażniony, chmurny i smutny. Na próżno ojciec, ksiądz i pani d’Yves wypytywali się, co mi jest? Czym nie chory? Odpowiadałem przecząco, a troskliwość ich drażniła mnie tylko. Dnie całe spędzałem samotnie, na koniu, to w lasach, to w szuwarach na łodzi. Żyłem jak dziki człowiek. Raz całą noc przepędziłem w lesie ze strzelbą i psem przy ognisku, które roznieciłem umyślnie. Czasem po pół dnia spędzałem z owczarzem naszym, który był znachorem, a zdziczały przez ciągłą samotność, zbierał wiecznie różne zioła, badał ich własności i mnie wtajemniczał w świat fantastyczny guseł i przesądów. Doprawdy, czyby kto

uwierzył? Ale były chwile, że tęskniłem za Selimem i za moimi „kołami udręczeń”, jak je zwykle nazywałem.

Raz przyszła mi myśl odwiedzić starego Mirzę w Chorzelach. Stary ujęty tym, że odwiedzam go dla niego samego, przyjął mnie z otwartymi rękoma. Ale ja w innym tam przybyłem celu. Ot, przyszło mi na myśl popatrzeć w oczy portretowi owego straszego Mirzy, pułkownika petyhorców z czasów Sobieskiego. I gdym patrzył w te złowrogie oczy, zwracające się wszędzie za człowiekiem, przyszli mi na myśl moi własni dziadowie, których konterfekty wisiały w sali bawialnej u nas; również surowi, żelaźni.

Umysł mój, pod wpływem podobnych wrażeń, doszedł do stanu dziwnej egzaltacji. Samotność, cisza nocna, życie z naturą, wszystko to powinno było podziałać na mnie uspokajająco: ale ja nosiłem w sobie niby zatruty postrzał. Chwilami oddawałem się marzeniom, które ten stan jeszcze pogarszały. Nieraz leżąc w jakim zapadłym kącie boru lub na łodzi w szuwarach, wyobrażałem sobie, że jestem w pokoiku Hani przy jej nogach, że całuję jej stopy, ręce i sukienkę, że nazywam ją najbardziej pieszczonymi imionami, a ona kładzie mi swoje ubóstwiane dłonie na rozpalone czoło i mówi: „Nacierpiałeś się już dosyć, zapomnijmy o wszystkim! To był przykry sen! Ja ciebie kocham, Henryku!” Ale potem następowało przebudzenie i ta szara rzeczywistość, ta posepna jak chmurny dzień moja przyszłość, wiecznie bez niej, aż do końca życia bez niej, wydawała mi się tym straszniejszą. Dziczałem więc coraz więcej, unikałem ludzi, nawet ojca, księdza Ludwika i pani d’Yves. Kazio ze swoją gadatliwością chłopca-podlotka, ze swoją ciekawością, wiecznym śmiechem i wiecznymi psotami, uprzykrzył mi się do ostatka. A jednak oni, poczciwi, starali się mnie rozerwać i cierpieli po cichu nad moim stanem nie umiając go sobie wytłumaczyć. Hania, czy się domyślała czego czy nie, boć miała silne powody wierzyć, że kocham się w Loli Ustrzyckiej, robiła, co mogła, żeby mnie pocieszyć. Byłem jednak tak cierpki nawet i dla niej, że nie mogła pozbyć się pewnej obawy, mówiąc do mnie. Ojciec, sam ojciec, zwykle surowy i bezwzględny, próbował mnie rozerwać i zainteresować czymkolwiek, a przy tym i zbadać. Niejednokrotnie zaczynał ze mną rozmowy, które, jak sądził, powinny były mnie zająć. Pewnego dnia po obiedzie wyszedł ze mną na dziedziniec i rzekł, patrząc na mnie badawczo:

– Czy tobie się czasem nie zdaje jedna rzecz? Chciałem się o to dawno spytać: czy tobie się nie zdaje, że Selim trochę zanadto kręci się koło Hani.

Po prostu rzeczy sądząc, powinienem się był zmieszać i dać się złapać, jak to mówią, na gorącym uczynku. Ale byłem w takim nastroju, że ani jednym drgnieniem nie zdradziłem wrażenia, jakie uczyniły na mnie słowa ojca, i odrzekłem spokojnie:

– Nie. Wiem, że tak nie jest...

Ubodło mnie, że ojciec brał udział w tych sprawach. Sądziłem, że ponieważ tu o mnie tylko chodzi, a więc ja tylko będę rozstrzygał.

– Czy ręczysz za to? – spytał ojciec.

– Ręczę. Selim kocha się w Warszawie, w jakiejś tam pensjonarce.

– Bo widzisz, jesteś przecie opiekunem Hani i powinieneś nad nią czuwać.

Wiedziałem, że poczciwy ojciec mówił to tylko dlatego, żeby pobudziwszy moją miłość własną, zająć mnie czymś i wyrwać moje myśli z tego ponurego kręgu, w którym zdawały się obracać; ale odpowiedziałem, jakby na przekór, obojętnie i ponuro:

– Co ja tam jestem za opiekunem. Ojca nie było, więc stary Mikołaj mnie ją zostawił, ale prawdziwym opiekunem nie ja jestem.

Ojciec zmarszczył się; widząc jednak, że tym sposobem nie trafi ze mną do ładu, wziął się na inny. Uśmiechnął się pod siwym wąsem, przymrużył po żołniersku jedno oko, wziął mnie z lekka za ucho i niby poufale, niby drażniąc się, spytał:

– A może tobie zawróciła Hania głowę? Gadaj chłopcze, co?

– Hania? Ani trochę. Ale to by było zabawne!

Kłamałem jak najęty, ale szło mi gładziej, niżem się spodziewał.

– To może Lola Ustrzycka? Co?

– Lola Ustrzycka, kokietka!

Ojciec zniecierpliwił się.

– To czegoż, u licha, jeśli się nie kochasz, łazisz jak rekrut po pierwszej musztrze?

– Czy ja wiem! Nic mi nie jest.

Ale podobne badania, jakich przez troskliwość nie szczędzili mi ani ojciec, ani ksiądz Ludwik, ani nawet pani d'Yves, męczyły mnie i niecierpliwiły coraz bardziej. Wreszcie stosunki moje z nimi zaczęły być przykre. Unosiłem się i gniewałem o lada co. Ksiądz Ludwik widział w tym pewne rysy wybijające się na wierzch z wiekiem despotycznego charakteru i spoglądając na ojca uśmiechał się znacząco i mówił: „Rodem kurki czubate!” Ale z tym wszystkim brakło i jemu czasem cierpliwości. Między ojcem i mną przyszło kilkakrotnie do zająć bardzo przykrych. Raz nawet przy obiedzie, gdy w dyspucie o szlachetczyznę i demokrację uniosłem się do tego stopnia, że oświadczyłem, że wolałbym sto razy nie rodzić się szlachcicem, ojciec kazał mi wyjść z pokoju. Kobiety popłakały się skutkiem tego i cały dom chodził przez dwa dni skwaszony. Co do mnie: nie byłem wówczas ani arystokratą, ani demokratą, byłem tylko rozkochany i nieszczęśliwy. Na zasady, teorie i socjalne przekonania nie było we mnie wcale miejsca, a jeżeli bojowałem w imię jednych przeciw drugim, czyniłem to tylko z rozdrażnienia, na złość nie wiadomo komu i dlatego,

tak samo, jak na złość wdawałem się z księdzem Ludwikiem w dysputy religijne, które kończyliśmy trzaskając drzwiami. Jednym słowem, zatrąłem życie nie tylko sobie, ale i całemu domowi; toteż gdy Selim wrócił wreszcie po dziesięciodniowej niebytności, wszystkim jakby kamień spadł z piersi. Kiedy przyjechał do nas, mnie nie było w domu, bo tłukłem się na koniu po okolicy. Wróciłem do domu dopiero nad wieczorem i zajechałem wprost na dziedziniec folwarczny, gdzie zaraz chłopak stajenny, odbierając ode mnie konia, rzekł:

– Panicz z Chorzel przyjechał.

W tej chwili nadbiegł i Kazio i powtórzył mi tę wiadomość.

– Wiem już o tym —odpowiedziałem mu szorstko. – Gdzie jest Selim?

– Zdaje mi się, że w ogrodzie z Hanią. Pójdę go poszukam.

Poszliśmy obaj do ogrodu, ale Kazio pobiegł naprzód, ja zaś szedłem zwolna za nim, umyślnie nie śpiesząc się z powitaniem.

Nie uszedłem jeszcze pięćdziesięciu kroków, gdy na skrócie alei znowu ujrzałem wracającego pośpiesznie Kazia.

Kazio, który był wielki pajac i trefniś, z daleka już zaczął wyrabiać dziwne jakieś miny i gęsta, jak małpka; był przy tym czerwony, palec trzymał na ustach i śmiał się, tłumiąc jednocześnie śmiech. Zbliżywszy się do mnie, zawołał z cicha:

– Henryk! Hi! hi! hi! Tsss!

– Co ty wyrabiasz? – zawołałem niechętnie.

– Tss! jak mamę kocham! hi! hi! Selim klęczy przed Hanią w chmielowej altanie. Jak mamę kocham!

Porwałem go natychmiast za ramiona i wpiłem w nie palce.

– Milcz! zostań tu! Ani słowa nikomu, rozumiesz! Zostań tu, ja sam pójdę, ale milcz, ani słowa przed nikim, jeśli ci życie moje miłe!

Kazio, który z początku całą rzecz brał ze strony humorystycznej, widząc trupią bladość, jaka pokryła mi twarz, przeraził się widocznie i pozostał na miejscu z otwartymi ustami, ja zaś pobiegłem jak szalony w kierunku chmielowej altany.

Przezołgnąwszy się szybko i cicho jak wąż między krzakami berberysu, które otaczały altankę, dotarłem do samej jej ściany. Ściany zbudowane były w kratkę z cienkich bierwionek, mogłem więc i widzieć, i słyszeć wszystko. Wstrętą rolę podsłuchującego nie wydała mi się wcale wstrętną. Delikatnie rozsunąłem liście i nadstawiłem ucha.

– Ktoś tu jest blisko! – doszedł mnie cichy, przytłumiony szept Hani.

– Nie! To liście poruszają się na gałązkach – odpowiedział Selim.

Spojrzałem na nich przez zielone obłonki liści. Selim nie klęczał już przy Hani, ale siedział przy niej na niskiej ławeczce. Ona była blada jak płótno, oczy miała zamknięte, głowę pochyloną i opartą na jego ramieniu, on ręką obejmował ją w pół i tulił do siebie z miłością i rozkoszą.

– Kocham, Haniu! kocham, kocham! – powtarzał szepcząc namiętnie i pochyliwszy głowę, gonił ustami jej usta; ona zaś cofała się, jakby broniąc pocałunku, ale mimo to usta ich spotkały się, zwały i pozostały tak połączone, przyciśnięte jedne drugimi długo, długo, ach! Mnie się zdało, że wieki całe.

A potem jeszcze mi się zdawało, że wszystko, co mieli sobie powiedzieć, wycelowywali ustami. Jakiś wstyd tamował im słowa. Mieli dosyć śmiałości do pocałunków, a nie mieli jej do rozmowy. Cisza panowała śmiertelna, a wśród ciszy tej dochodził mnie tylko szybki i namiętny ich oddech.

Chwyciłem rękoma za drewniane kraty altany i bałem się, żeby nie rozkruszyły się w drzazgi w tym konwulsyjnym uścisku. W oczach mi ciemniało, czułem zawrót głowy, ziemia uciekała gdzieś spode mnie w nieskończoną głębię. Ale choćby za cenę życia chciałem wiedzieć, co będą mówić; więc jeszcze zapanowałem nad sobą i chwytając spieczonymi ustami powietrze, z czołem przyciśniętym do kraty, słuchałem licząc każde ich tchnienie.

Cisza trwała jeszcze czas jakiś, wreszcie Hania pierwsza zaczęła szeptać:

– Dosyć już! dosyć! Ja nie śmiem w oczy panu spojrzeć. Chodźmy stąd!

I odwracając w bok głowę, usiłowała się wyrwać z jego ramion.

– O, Haniu! co się ze mną dzieje, jakim ja szczęśliwy! – wołał Selim.

– Chodźmy stąd. Tu kto nadejdzie.

Selim porwał się z miejsca, z błyszczącymi oczyma i rozdętymi nozdrzami.

– Niech świat cały nadejdzie – odpowiedział – ja kocham i powiem to wszystkim w oczy. Ja sam nie wiem, jak się to stało. Walczyłem z sobą, cierpiałem, bo mi się zdawało, że cię kocha Henryk, a ty jego. Ale teraz nie uważam na nic. Ty mnie kochasz, a więc o twoje szczęście chodzi. O, Haniu, Haniu!

I tu znowu zaszemrał pocałunek, a potem Hania zaczęła mówić głosem miękkim i jakby osłabłym:

– Wierzę, wierzę, panie Selimie, ale ja mam panu wiele rzeczy powiedzieć! Mnie chcą podobno wysłać stąd za granicę do pani. Wczoraj pani d'Yves rozmawiała o tym z panem; pani d'Yves myśli, że to ja jestem powodem tego dziwnego stanu pana Henryka. Myślę, że on się we mnie kocha. Ja sama nie wiem, czy tak nie jest. Są chwile, że mi się tak zdaje. Ja go nie rozumiem. Ja się go boję. Czuję, że on nam będzie przeszkadzał, że on nas rozłączy, a ja...

I skończyła zaledwie dosłyszonym szeptem:

– Ja bardzo, bardzo kocham!

– Słuchaj, Haniu – odpowiedział Selim. – Żadna siła ludzka nas nie rozłączy. Gdyby Henryk zabronił mi tu bywać, będę pisywał do ciebie. Mam kogoś takiego, kto zawsze list zaniesie. Będę przejeżdżał i sam od strony stawu. Szarą godziną wyjdź zawsze do ogrodu. Ale ty nie wyjedziesz. Gdyby cię chcieli wysłać: ja na to nie pozwolę, jak Bóg na niebie. Haniu, nie mów takich rzeczy, bo ja oszaleję. O! moja ukochana, moja ukochana!

Porwawszy jej ręce, cisnął je namiętnie do ust. Ona zerwała się gwałtownie z ławki.

– Słyszę jakieś głosy: nadchodzą! – zawołała z przestrawieniem.

Wyszli oboje, chociaż nie nadchodził i nie nadszedł nikt. Wieczne promienie słońca rzucały na nich blaski złote, a mnie te blaski wydały się takie czerwone jak krew. Zawlokłem się i ja z wolna ku domowi. Zaraz na skrócie ulicy spotkałem czatującego Kazia.

– Wyszli. Widziałem ich – szepnął. – Powiedz mi, co mam robić?

– Strzel mu w łeb —zawołałem z wybuchem.

Kazio spłonął jak róża, a oczy zaświeciły fosforycznie.

– Dobrze! – odparł.

– Stój! nie bądź głupcem. Nie rób nic. Nie mieszaj się do niczego i na honor twój, Kaziu, milcz! Zдай wszystko na mnie. Jak mi będziesz potrzebny, powiem ci; ale przed nikim ani słowa.

– Ani pisnę, choćby mnie zabili.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

Kazio, przejęty teraz ważnością kwestii i wietrzący jakieś groźne wypadki, do których skakało mu serce, poglądał na mnie roziskrzonymi oczyma, potem rzekł:

– Henryku!

– Co?

Szeptaliśmy obaj, choć nikt nas nie słuchał.

– Czy ty się będziesz bił z Mirzą?

– Nie wiem. Może.

Kazio zatrzymał się i nagle zarzucił mi ręce na szyję.

– Henryku! mój złoty! mój serdeczny! mój jedyny! Jeżeli ty się z nim chcesz bić, to pozwól, niech ja to zrobię. Już ja sobie z nim dam radę. Niech ja się spróbuję. Pozwól, Henryku, pozwól!

Kaziowi po prostu marzyły się czyny rycerskie, ale ja poczułem w nim brata, jak nigdy przedtem, więc przygarąłem go do piersi z całej siły i rzekłem:

– Nie, Kaziu, ja jeszcze nic nie wiem. A po wtóre: on by nie przyjął. Ja jeszcze nic nie wiem, co się stanie. Tymczasem każ mi osiodłać konia wcześniej. Pojadę przed nim, złapię go w drodze i rozmówię się z nim. Tymczasem pilnuj ich, ale nie daj poznać, że wiesz o czymkolwiek. Każ mi osiodłać konia.

– Czy broń weźmiesz ze sobą?

– Fe! Kaziu! przecież on nie ma przy sobie broni. Nie! Ja się chcę z nim tylko rozmówić. Bądź spokojny i ruszaj zaraz do stajni.

Kazio skoczył natychmiast według polecenia, ja zaś wróciłem wolno do domu. Byłem jak człowiek, którego uderzono obuchem siekiery w głowę. Mam prawdę rzec: nie wiedziałem, co mam robić; nie wiedziałem, jak mam postąpić. Po prostu chciało mi się krzyżeć.

Zanim miałem zupełną pewność utraty serca Hani, pragnąłem mieć tę pewność, sądziłem, że bądź co bądź spadnie mi kamień z serca: teraz nieszczęście odchyliło przyłbicę, a ja patrzyłem w zimną, lodowatą twarz, w kamienne jego oczy i znów nowa niepewność zrodziła mi się w sercu, nie niepewność nieszczęścia, ale stokroć gorsze poczucie własnej niemocy: niepewność, jak z nim walczyć.

Serce moje przepelnione było żółcią, goryczą i wściekłością. Głosy ofiarne, głosy poświęceń, które dawniej nieraz wołały mi w duszy: „Zrzeknij się Hani dla jej szczęścia; tyś o szczęście jej przede wszystkim dbać powinien; poświęć się!”, głosy takie umilkły teraz zupełnie. Anioł cichego smutku, anioł rzewności i anioł łez uleciały daleko ode mnie. Czułem się robakiem, którego zdeptano, ale o którym zapomniano, że ma żądło. Dałem się dotychczas gnać nieszczęściom jak wilk psom, ale zbyt sponiewierany i przyparty, począłem jak wilk pokazywać im zęby. Jakaś nowa siła czynna, której na imię było: mściwość, rozbudziła się w moim sercu. Począłem czuć jakby rodzaj nienawiści do Selima i Hani. „Stracę życie – myślałem sobie – stracę wszystko, co można stracić na świecie, a nie pozwolę na szczęście tych dwojga.” Przejęty tą myślą, chwyciłem się jej jak potępieniec krzyża. Znalazłem powód do życia: horyzont rozjaśnił się przede mną: odetchnąłem szeroko, bardzo szeroko i swobodnie, jak nigdy przedtem! Rozproszone i zwichrzone myśli wróciły mi do porządku i całą siłą skierowały się w jednym złowrogim dla Selima i Hani kierunku. Gdy wróciłem do domu, byłem prawie spokojny, chłodny. W sali siedziała pani d’Yves, ksiądz Ludwik, Hania, Selim i Kazio, który wrócił już był ze stajni i nie odstępował ich ani na krok jeden.

– Czy koń jest dla mnie? – spytał Kazia.

– Jest.

– Odprowadzisz mnie? – wtrącił Selim.

– Mogę. Jadę do stogów zobaczyć, czy nie ma szkód jakich. Kaziku, puść mnie na swoje miejsce.

Kazio ustąpił się, ja zaś siadłem koło Selima i Hani na kanapce, stojącej pod oknem. Mimo woli przypomniałem sobie, jak siedzieliśmy tak dawno już, dawno, zaraz po śmierci Mikołaja, wówczas gdy Selim opowiadał bajkę krymską o sułtanie Harunie i wróżce Lali. Ale wówczas mała jeszcze i splakana Haniulka oparła złotą główkę na mojej piersi i usnęła; dziś też sama Hania, korzystając z mroku zapadającego w sali, ścisnęła po kryjomu rękę Selima. Wówczas łączyło nas wszystkich troje słodkie uczucie przyjaźni, dziś miłość i nienawiść miały wkrótce pójść z sobą w zapasy. Ale na pozór wszystko było spokojne: zakochani uśmiechali się do siebie, ja byłem weselszy niż zwykle, nikt zaś nie podejrzewał, jaka to była wesołość. Wkrótce pani d'Yves poprosiła Selima, żeby co zagrał. Wstał, usiadł przy fortepianie i począł grać mazurki Szopena, ja zaś zostałem przez chwilę sam na sam z Hanią na kanapce. Zauważyłem, że patrzy na Selima jak w tęczę i że na skrzydłach muzyki ulatuje w krainę marzeń, więc postanowiłem ją sprowadzić na ziemię.

– Prawda, Haniu – rzekłem – ile to ma talentów ten Selim? gra i śpiewa.

– O, prawda! – rzekła.

– A przy tym co to za piękna twarz, spojrzij no w tej chwili na niego.

Hania poszła za kierunkiem oczu moich. Selim siedział w mroku, tylko głowa jego oświetlona była ostatnimi promieniami zorzy wieczornej, a w tych blaskach, ze wzniesionymi oczyma, wyglądał jak natchniony, bo też i był natchniony w tej chwili.

– Prawda, jaki piękny, Haniu? – powtórzyłem.

– Czy pan go bardzo kocha?

– Na tym mu nic nie zależy, ale kobiety kochają go. Ach! jakże go kochała ta pensjonarka Józia!

Niespokojność zarysowała się na gładkim czole Hani.

– A on? – spytała.

– Ej! on dziś kocha tę, jutro inną! On nigdy długo jednej nie może kochać. Taka już natura. Jeżeli ci powie kiedy, że cię kocha, nie wierz mu (tu zacząłem mówić z naciskiem): będzie mu chodziło o twoje pocałunki, nie o twoje serce, rozumiesz?

– Panie Henryku!

– Prawda! co też ja mówię! Przecie ciebie to nic nie obchodzi. A zresztą, ty, taka skromna, czyżbyś ty dała swój pocałunek obcemu, Haniu! przepraszam cię, bo mi się zdaje, że cię obraziłem nawet przypuszczeniem. Ty byś nigdy na to nie pozwoliła. Prawda, Haniu, nigdy?

Hania zerwała się i chciała odejść, ale schwyciłem ją za rękę i zatrzymałem przemocą. Usiłowałem być niby spokojny, a wściekłość dusiła mnie niby kleszczami za gardło. Czułem, że tracę władzę nad sobą.

– Odpowiedz! – rzekłem z tłumionym uniesieniem – inaczej cię nie puszcze!

– Panie Henryku! Czego pan chce? Co pan mówi?

– Ja mówię... ja mówię... – wyszeptałem z zaciśniętymi zębami – ja mówię, że wstydu nie masz w oczach? Ha!

Hania siadła bezwładnie na powrót na kanapce; spojrzałem na nią: blada była jak płótno. Ale litość nad tym biedactwem uleciała ode mnie. Chwyciłem ją za rękę i cisnąc za drobne paluszki, mówiłem dalej:

– Słuchaj! byłem u nóg twoich! kochałem cię więcej niż świat cały...

– Panie Henryku!...

– Cicho bądź: widziałem i słyszałem wszystko! Jesteś bezwstydna! Ty i on!

– Mój Boże! mój Boże!

– Jesteś bezwstydna! Ja bym nie śmiał ucałować krańca twojej sukienki, a on całował cię w usta. Ty sama garnęłaś się do pocałunków! Haniu! Ja tobą pogardzam! Ja cię nienawidzę!

Głos zamarł mi w piersi. Począłem tylko oddychać szybko i łowić powietrze, którego mi brakło w piersiach.

– Zgadłaś! – mówiłem po chwili – że ja was rozłączę. Choćbym miał życie stracić, rozłączę was; choćbym miał zabić ciebie, jego i siebie. Nieprawda, co ci mówiłem przed chwilą. On ciebie kocha, on by cię nie porzucił, ale ja was rozłączę.

– O czym tak żywo rozprawiacie? – spytała nagle pani d'Yves, siedząca w drugim końcu sali.

Była chwila, że chciałem się zerwać i wypowiedzieć w głos wszystko, ale się opamiętałem i odrzekłem niby spokojnym, choć trochę przerywanym głosem.

– Sprzeczymy się, która altana w naszym ogrodzie piękniejsza: różana czy chmielowa?

Selim przestał nagle grać i spojrzał na nas uważnie, a potem odrzekł z największym spokojem:

– Ja bym tam oddał wszystkie inne za chmielową.

– Niezły masz gust – odpowiedziałem. – Hania przeciwnego jest zdania.

– Czy naprawdę, panno Hanno? – spytał.

– Tak – rzekła cicho.

Znowuż czułem, że nie wytrwam dłużej w tej rozmowie. Jakieś czerwone koła zaczęły mi migać przed oczyma. Zerwałem się i wybiegłem przez kilka pokoi do sali jadalnej, porwałem

za stojącą na stole karafkę z wodą i wylałem ją sobie na głowę. Potem, nie wiedząc już, co czynię, grzmotnąłem karafkę o ziemię, aż rozprysła się na tysiąc kawałków, i wybiegłem do sieni.

Koń mój i Selima stały już osiodłane przed gankiem.

Na chwilę wpadłem jeszcze do mego pokoju, aby jako tako obetrzeć się z wody, i uczyniwszy to wróciłem do sali.

W sali zastałem księdza Ludwika i Selima w największym przerażeniu.

– Co się stało? – spytałem.

– Hania zasłabła, zemdląca.

– Co? jak? – krzyknąłem chwyciwszy księdza za ramię.

– Zaraz po twoim odejściu wybuchnęła głośnym płaczem, a potem zemdląca. Pani d'Yves zabrała ją do siebie.

Nic nie rzekłszy poleciałem do pokoju pani d'Yves. Hania istotnie wybuchnęła głośnym płaczem i zemdląca, ale paroksyzm już minął. Gdym ją ujrzał, zapomniałem o wszystkim i rzuciwszy się na kolana przed jej łóżkiem jak szalony, nie zważając na obecność pani d'Yves, krzyknąłem:

– Haniu! moja złota! moja kochana! Co tobie?

– Nic! już nic! – odpowiedziała słabym głosem i próbowała się uśmiechnąć. – Nic już. Doprawdy nic.

Przesiedziałem u niej z kwadrans. Potem pocałowałem ją w rękę i wróciłem do sali. Nieprawda! Nie nienawidziłem jej! Kochałem ją jak nigdy! Ale za to, gdym ujrzał Selima w sali, miałem ochotę go udusić. O! jego to, jego nienawidziłem teraz z głębi duszy. Obaj z księdzem podbiegli do mnie natychmiast.

– No! jakże tam?

– Już dobrze.

I zwróciwszy się do Selima, rzekłem mu do ucha:

– Jedź do domu. Jutro zjedziemy się u kopców na skraju lasu. Chcę z tobą pomówić. Nie chcę, żebyś tu przyjeżdżał. Nasze stosunki muszą się skończyć.

Selimowi krew uderzyła na twarz.

– Co to znaczy?

– Jutro to ci wytłumaczę. Dziś nie chcę. Rozumiesz? Nie chcę. Jutro o szóstej rano.

To rzekłszy, wróciłem do pokoju pani d'Yves. Selim pobiegł za mną parę kroków, ale zatrzymał się we drzwiach. W kilka minut później widziałem go przez okno, jak odjeżdżał.

Siedziałem z godzinę w pokoju, przyległym do pokoiku Hani. Wejść do niej nie mogłem, bo osłabiona płaczem usnęła. Pani d'Yves wraz z księdzem Ludwikiem zeszli na jakąś naradę do ojca. Siedziałem sam aż do pory herbaty.

Przy herbacie spostrzegłem, że ojciec, ksiądz i pani d'Yves mieli jakieś pół-tajemnicze, pół-surowe twarze. Wyznaję, że ogarnęła mnie pewna niespokojność. Czyżby mieli się domyślać czego? Było to prawdopodobne; bo bądź co bądź działy się między nami młodymi dzisiaj rzeczy dość nienaturalne.

– Miałem dziś list od matki – rzekł do mnie ojciec.

– Jakże zdrowie matki?

– Zupełnie dobrze. Ale jest niespokojna o to, co się dzieje w domu. Chce wracać niedługo, ale nie pozwolę na to: musi jeszcze ze dwa miesiące zabawić.

– O cóż matka jest niespokojna?

– Wiadomo ci przecie, że we wsi panuje ospa; byłem tyle nieostrożny, że m jej o tym doniosłem.

Co prawda, nic nie wiedziałem, że we wsi panuje ospa. Może wreszcie i słyszałem o tym, ale wiadomość odbiła się zapewne o moje uszy jak o ścianę.

– Czy ojciec nie odwiedzi matki? – spytałem.

– Zobaczę. Pomówimy o tym.

– A to już blisko rok, jak kochana pani bawi za granicą – rzekł ksiądz Ludwik.

– Zdrowie jej tego wymaga. Przyszłą zimą będzie już mogła tu spędzić. Pisze, że czuje się daleko zdrowszą, tylko tęskni za nami i jest niespokojna – odrzekł ojciec.

A potem, zwróciwszy się do mnie, dodał:

– Po herbacie przyjdź do mego pokoju. Chcę z tobą pomówić.

– Dobrze, ojciec!

Wstałem i razem ze wszystkimi poszedłem do Hani. Była już zupełnie dobrze; chciała nawet wstać, ale ojciec na to nie pozwolił. Koło godziny dziesiątej wieczór jakaś bryczka zadudniła przed gankiem. Przyjechał doktor Stanisław, który od południa bawił w chatach włościańskich. Wybadawszy dobrze Hanię, oświadczył, że wcale nie jest chora, ale potrzebuje rozrywki i odpoczynku. Zabronił się jej uczyć, kazał zaś się bawić i być wesołą.

Ojciec radził się go, czy lepiej – wywieźć małe siostrzyczki na czas, póki epidemia nie przeminie, czy też można je trzymać w domu? Doktor uspokoił go mówiąc, że nie ma niebezpieczeństwa; sam umyślnie napisał do matki, żeby była spokojną. Potem zaś udał się na spoczynek, bo upadał ze znużenia. Odprowadziłem go ze świecą w ręku do stacji, gdzie miał

ze mną nocować, i samemu przyszła mi ochota już się położyć, bo byłem nad wszelki wyraz zmęczony wrażeniami dnia dzisiejszego, gdy wszedł Franek i rzekł:

– Starszy pan prosi panicza do siebie.

Poszedłem natychmiast. Ojciec siedział w swoim pokoju przy biurku, na którym leżał list matki. W pokoju byli obecni także ksiądz Ludwik i pani d'Yves. Serce biło mi niespokojnie jak obwinionemu, który ma stanąć przed sądem, bo byłem prawie pewny, iż zechcą mnie badać o Hanię. Jakoż ojciec począł mówić ze mną o rzeczach nadzwyczaj poważnych. Postanowił siostry wraz z panią d'Yves wysłać do Kopczan, do stryja, dla spokojności matki. Ale w takim razie Hania musiałaby zostać sama między nami. Otóż ojciec sobie tego nie życzył. Przy tym oświadczył, iż wie, iż dzieją się między nami młodymi rzeczy, których badać nie chce, ale których nie pochwała; spodziewa się jednak, że wyjazd Hani położy im tamę.

Tu wszyscy poczęli patrzeć na mnie badawczo, ale nie pomału zdziwili się, gdy zamiast rozpaczliwie opierać się wyjazdowi Hani, przystałem nań z radością. Ja zaś miałem po prostu to wyrachowanie, że wyjazd ten równał się zerwaniu wszelkich stosunków z Selimem. A przy tym jakaś nadzieja, na kształt błędnego ognika, zamigotała mi w sercu, że to ja, a nie kto inny, odwiozę Hanię do naszej matki. Wiedziałem, że ojciec nie może wyjechać, bo żniwa były za pasem; wiedziałem, że ksiądz Ludwik nigdy za granicą nie był, pozostawałem więc tylko ja. Ale była to słaba nadzieja i wkrótce też jak błędny ognek zgasła, gdy ojciec oświadczył, że pani Ustrzycka za parę dni wyjeżdża do kąpieli morskich i że już się zgodziła zabrać z sobą Hanię i dowieźć ją do matki. Pojutrze miała Hania wyjechać na noc w drogę. Zasmuciło mnie to nie pomału, wołałem jednak w każdym razie, żeby wyjechała nawet beze mnie, niż żeby została. Przy tym wyznaję, że niepomierłą radość sprawiała mi myśl, co też uczyni i jak przyjmie tę wiadomość Selim, gdy mu ją jutro powiem.

X

O szóstej rano następnego dnia byłem u kopców, gdzie Selim czekał już na mnie. Jadąc tam, dałem sobie uroczyste słowo, że będę spokojny.

– Co mi chciałeś powiedzieć? – spytał Selim.

– Chciałem ci powiedzieć, że wiem wszystko. Kochasz Hanię, a ona ciebie. Mirzo! postąpiłeś sobie niegodnie, usidlając serce Hani. To ci przede wszystkim chciałem powiedzieć.

Selim pobladł, ale wzburzyło się w nim wszystko. Najechał na mnie tak, że konie nasze prawie wsparły się o siebie, i spytał:

– Dlaczego? Dlaczego? Rachuj się ze słowami.

– Po pierwsze dlatego, żeś ty muzułmanin, a ona chrześcijanka: nie możesz się z nią żenić.

– Zmienię religię.

– Ojciec ci nie pozwoli.

– O! on pozwoli, a wreszcie...

– Wreszcie są inne przeszkody. Choćbyś zmienił religię, ani ja, ani mój ojciec nie damy ci Hani nigdy i przenigdy! Rozumiesz?

Mirza pochylił się ku mnie z siodła i odparł kładąc przycisk na każdą zgłoskę:

– Ja się was nie będę pytał! Rozumiesz ty z kolei?

Byłem jeszcze spokojny, bo wiadomość o wyjeździe Hani chowałem na ostatek.

– Nie tylko, że ona nie będzie twoją – odpowiedziałem chłodno i z równym naciskiem – ale nie będziesz jej więcej widział. Wiem, że chciałeś posyłać listy; oświadczam, że będę pilnował i za pierwszym razem każę dać twemu posłańcowi różgi. Sam nie będziesz przyjeżdżał więcej do nas. Zabraniam ci!

– Zobaczmy! – odparł dysząc z gniewu. – Z kolei pozwól mi mówić. Nie ja, ale ty postępujesz niegodnie. Teraz widzę jasno. Jam cię pytał, czy jej nie kochasz? Odpowiedziałeś: „Nie!” Chciałem się cofnąć, póki byt czas, odrzuciłeś ofiarę. Kto winien? Kłamałeś, żeś jej nie kochał. Przez miłość własną, przez dumę egoistyczną wstydziłeś się wyznać, że kochasz. Kochałeś się po ciemku, ja w świetle. Kochałeś się skrycie, ja otwarcie. Ty truleś jej życie, jam starał się ją uszczęśliwić. Kto winien? Byłbym się cofnął. Bóg widzi,

byłbym się cofnął. Ale dziś już za późno. Dziś ona mnie kocha, i słuchaj, co ci powiem: możecie mi zabronić bywać w waszym domu, możecie przejmować moje listy, przysięgam wam jednak, że Hani się nie zrzeknę, że jej nie zapomnę, że wiecznie ją będę kochał, wszędzie odszukam. Ja postępuję po prostu i uczciwie, ale kocham, kocham nad wszystko na świecie i cały żyję w tym i umarłbym bez tego. Ja nie chcę wnosić nieszczęścia w wasz dom, ale pamiętaj, że jest we mnie teraz coś takiego, czego ja sam się lękam. Jam gotów na wszystko. O! jeśli wy krzywdę wyrządzicie Hani...

Mówił to wszystko pośpiesznie, blady i z zaciśniętymi ustami. Miłość potężna owładła tą ognistą, wschodnią naturą i biła od niej jak żar od płomienia; ale ja nie uważałem na to i odpowiedziałem z zimną i chłodną stanowczością:

– Nie przyjechałem tu słuchać twych zwierzeń. Z gróźb drwię sobie i powtarzam ci jeszcze raz: Hania nigdy nie będzie twoją.

– Słuchaj jeszcze – rzekł Selim – jak i ile Hanię kocham, nie próbuję mówić, bo ja nie umiałbym wypowiedzieć, a ty zrozumieć. Przysięgam ci jednak, że pomimo całej miłości, gdyby ona ciebie kochała, jeszcze bym znalazł w duszy tyle szlachetnych uczuć, żeby zrzec się jej na zawsze. Henryku, przecież nam o nią chodzić winno! Tyś był zawsze szlachetny. Słuchaj więc, zrzeknij się jej, a potem żądaj ode mnie choć życia. Oto moja ręka, Henryku! o Hanię chodzi, o Hanię! pamiętaj!

I wychylił się ku mnie z otwartymi ramionami, ale ja cofnąłem konia.

– Troskę o nią zostaw mnie i ojcu memu. Jużeśmy o niej myśleli. Mam honor oświadczyć ci, że Hania pojutrze wyjeżdża za granicę i że jej więcej nie zobaczysz. A teraz żegnam.

– Aa! jeśli tak, więc zobaczymy!

– Zobaczymy!

Zawróciłem konia i pojechałem do domu, nie oglądając się poza siebie.

Ponuro było w naszym domu przez te dwa dni, pozostające do wyjazdu Hani. Pani d'Yves z siostrami wyjechała zaraz na drugi dzień po owej rozmowie z ojcem. Zostałem tylko ja, ojciec, ksiądz Ludwik i Hania. Biedaczka wiedziała już, że ma odjechać, i wiadomość o tym przyjęła z rozpaczą. Widocznie pragnęła we mnie szukać ratunku i ostatniej deski zbawienia, ale ja domyślając się tego, starałem się, ażeby nie zostać z nią ani przez chwilę sam na sam. Znałem siebie dostatecznie i wiedziałem, że łzami robi ze mną wszystko, co zechce, i że nie potrafię jej nic odmówić. Unikałem nawet jej wzroku, bo nie mogłem znieść tej jakby prośby o litość, która malowała się w nim, ilekroć patrzyła na mnie lub na ojca.

Z drugiej strony, choćbym nawet i chciał wstawić się za nią do ojca, wiedziałem, że na nic by się to nie przydało, bo ojciec nigdy nie zmieniał tego, co raz postanowił. A przy tym

jeszcze i wstyd jakiś trzymał mnie od Hani z daleka. Wstydzilem się przed nią ostatniej rozmowy z Mirzą i tej surowości niedawnej, i całej mojej roli, i tego wreszcie, że nie zbliżając się do niej, śledziłem ją jednak z daleka. Ale miałem powody ją śledzić. Wiedziałem, że Mirza krąży jak ptak drapieżny dzień i noc około naszego domu; zaraz na drugi dzień po rozmowie ujrzałem, że Hania chowała z pośpiechem karteczkę zapisanego papieru: niezawodnie list od niego lub do niego. Domyślałem się nawet, że może i widzieć się będą z sobą, ale jakkolwiek czatowałem szarą godziną na Selima, nie mogłem go jednak złapać. Tymczasem dwa dni przeminęły szybko jak strzała na powietrzu. Przed wieczorem dnia tego, w którym Hania miała odjechać na noc do Ustrzycy, ojciec pojechał do miasta na jarmark za kupnem koni i Kazia wziął dla próbowania ich ze sobą, Hanię zaś mieliśmy odprowadzić obaj z księdzem Ludwikiem.

Zauważyłem, że w miarę, jak się zbliżała godzina stanowcza, Hanię owładła dziwna jakaś niespokojność. Mieniła się w oczach i drżała na całym ciele. Chwilami wzdrygała się, jakby przestraszona. Wreszcie słońce zaszło, a zaszło pochmurno jakoś, za grube i skłębione, żółtawego koloru chmury, które groziły gradem i burzą. Kilkakrotnie na zachodniej stronie nieba dał się słyszeć odległy grzmot, jakby groźne warczenie zbliżającej się burzy. Powietrze było duszne, parne i przesycone elektrycznością. Ptaki pochowały się pod dachy, drzewa, i tylko jaskółki rzucały się niespokojnie w powietrzu; liście przestały szemrać na drzewach i zwiesiły się jakby omdlałe; z dziedzińca folwarcznego dochodził żaloszny ryk bydła, wracającego z pola. Jakiś posepny niepokój opanował całą naturę. Ksiądz Ludwik kazał zamykać okna. Chciałem przed wybuchem burzy zdażyć do Ustrzycy, więc zerwałem się, żeby pójść do stajni i kazać zajeżdzać. W chwili, kiedy miałem wyjść z pokoju, zerwała się i Hania, ale siadła natychmiast. Spojrzałem na nią. Rumieniła się i bladła na przemian.

– Duszno mi jakoś! duszno! – zawołała i siadłszy przy oknie poczęła się wachlować chustką. Dziwna niespokojność jej zwiększyła się widocznie.

– Może by poczekać – rzekł do mnie ksiądz Ludwik – burza za jakieś pół godziny wybuchnie!

– Za pół godziny – odpowiedziałem – będziemy już pod Ustrzycą, a zresztą kto wie jeszcze, czy to nie próżne strachy – i pobiegłem do stajni.

Koń był już dla mnie osiodłany, ale z zaprzęgnięciem marudzono jak zwykle. Upłynęło z pół godziny czasu, nim stangret ruszył przed ganek z powozem, ja zaś za nim na koniu. Burza zdawała się tylko wisieć, ale nie chciałem już dłużej zwlekać. Wyniesiono natychmiast kufry Hani i przymocowano za powozem. Ksiądz Ludwik czekał już na ganku w białym, płóciennym kitlu i z ogromnym, również białym, parasolem.

– Gdzie Hania? czy gotowa? – spytałem go.

– Gotowa. Będzie już z pół godziny, jak poszła się modlić do kaplicy.

Poszedłem do kaplicy, ale Hani tam nie znalazłem, z kaplicy przeszedłem do sali jadalnej, z sali jadalnej do bawialnej: Hani nie było.

– Haniu! Haniu! – począłem wołać. Nie odpowiedział nikt.

Cokolwiek niespokojny już, udałem się do jej pokoju; myślałem, czy nie zasłabła. W pokoju siedziała popłakując stara Węgrowska.

– Czy to już – spytała – czas się pożegnać z panienką?

– Gdzie panienka jest? – spytałem niecierpliwie.

– Panienka poszła do ogrodu.

Wybiegłem i ja do ogrodu.

– Haniu! Haniu! czas siadać?

Cisza...

– Haniu! Haniu!

Jakby w odpowiedzi mi, zaszemrały niespokojnie liście pod pierwszym tchnieniem burzy, spadło kilka grubych kropel dżdżu i znów zapanowała cisza.

„Co to jest!” – spytałem sam siebie i czułem, że włosy powstają mi na głowie z przerażenia.

– Haniu! Haniu!

Przez chwilę zdawało mi się, że z drugiego końca ogrodu słyszę odpowiedź. Odetchnąłem. „Ach! głupiec ze mnie!” – pomyślałem sobie i pobiegłem w stronę, skąd głos dochodził.

Nie znalazłem nic i nikogo.

Z tej strony ogród kończył się sztachetami, za którymi szła polna droga ku owczarni stojącej w polu. Chwyciłem za sztachety i spojrzałem na drogę: było na niej pusto, tylko Ignac, chłopak folwarczny, pasł gęsi w rowie, tuż przy sztachetach.

– Ignac!

Ignac zdjął czapkę i podbiegł ku sztachetom.

– Nie widziałeś ty panienki?

– Widziałem. Dopiero co panienka tędy jechali.

– Co? jak? gdzie jechała?

– A ku lasowi, z paniczem z Chorzel. O! tak jechali, co ino konie mogły wyskoczyć!

Jezus! Maria! Hania uciekła z Selimem!

W oczach mi pociemniało, a potem niby błyskawica przeleciała przez głowę. Przypomniałem sobie niespokojność Hani, ów list, który widziałem w jej ręku. Wszystko to

było więc umówione? Mirza pisał do niej i widział się z nią. Wybrali chwilę przed samym wyjazdem, bo wiedzieli, że wszyscy wtedy będą w domu zajęci. Jezus! Maria! Oblał mnie zimny pot, a włosy zjeżyły się na głowie. Nie pamiętam, kiedy znalazłem się na ganku.

– Konia! konia! – krzyknąłem strasznym głosem.

– Co się stało? Co się stało? – krzyczał ksiądz Ludwik.

Ale odpowiedział mu tylko huk grzmotu, który rozległ się w tej chwili. Wiatr zaświszczał mi w uszach od szalonego pędu konia. Wypadłszy w lipową aleję, skręciłem go w kierunku drogi, którą uciekli; przesadziłem przez jeden płot, następnie przez drugi i popędziłem dalej. Ślady były widoczne. Ale tymczasem wybuchnęła burza: ściemniało; na czarnych kłębach chmur poczęły się rysować jaskrawe zygzyki błyskawic; czasem całe niebo stawało się jednym ogniem, a potem zapadała jeszcze grubsza ciemność; deszcz lał jak jeden potok. Drzewa przydrożne wiły się w różne strony konwulsyjnie. Koń mój, bity szalonymi razami szpicruty i party ostrogami, począł chrapać i jęczeć, a ja chrapałem także ze wściekłości. Pochylony na szyję konia śledziłem znaków na drodze, nie wiedząc i nie myśląc o niczym więcej. W ten sposób wpadłem do lasu. W tej chwili burza zwiększyła się jeszcze. Jakaś wściekłość ogarnęła niebo i ziemię. Las gął się jak łan zboża i wywijał czarnymi gałęziami, echo grzmotu rozlegało się w ciemnościach od sosny do sosny; huk piorunów, szum konarów, trzask łamiących się gałęzi, wszystko to mieszało się w piekielną jakąś kapełę. Nie mogłem już dojrzeć śladów, ale leciałem naprzód jak wichur. Za lasem dopiero, przy świetle błyskawic, rozeznałem je znowu; ale z przerażeniem spostrzegłem jednocześnie, że chrapanie mego konia zwiększa się, a bieg wolnieje. Podwoiłem razy szpicruty. Tuż za lasem poczynało się prawdziwe morze piasku, które ja mogłem ominąć bokiem, ale przez które musiał przejeżdżać Selim. Powinno to było opóźnić ucieczkę.

Podniosłem oczy do góry:

– O Boże! spraw, żebym ich doścignął, a potem zabij mnie, jeśli zechcesz! – wołałem z rozpaczą.

I modlitwa moja została wysłuchana. Nagle czerwona błyskawica rozdarła ciemności, a przy krwawym jej świetle spostrzegłem uciekającą małą bryczuszkę. Nie rozeznałem twarzy uciekających, ale byłem już pewny, że to oni. Byli jeszcze z pół wiorsty drogi; nie uciekali jednak zbyt szybko, bo w ciemnościach i wobec powodzi, jaką sprawiły deszcze, Selim musiał jechać ostrożnie. Wydałem okrzyk wściekłości i radości zarazem. Teraz już ujść nie mogli.

Selim obejrzał się, krzyknął także i począł smagać batem strwożone konie. Przy świetle błyskawic poznała mnie i Hania. Widziałem, że uchwyciła się z rozpaczą Selima i że ten coś mówił do niej. W kilka sekund byłem już tak blisko, że mogłem usłyszeć głos Selima:

– Mam broń przy sobie! – wołał w ciemnościach – nie zbliżaj się, bo strzele!

Ale nie uważałem na nic i docierałem coraz bliżej i bliżej.

– Stój! – wołał Selim – stój!

Byłem zaledwie o piętnaście kroków, ale droga poczyniła się lepsza i Selim puścił na nowo konie pełnym galopem. Odległość między nami na chwilę zwiększyła się, ale potem znów począłem ich dościgać. Wówczas Selim odwrócił się i począł mierzyć z pistoletu. Groźny był, ale mierzył spokojnie. Chwila jeszcze, a byłbym uchwycił ręką za bryczkę. Nagle jednak rozległ się huk strzału... koń mój rzucił się w bok; skoczył jeszcze kilka razy, potem klęknął na przednie nogi; podniosłem go, przysiadł na tylne i chrapnąwszy ciężko, zwałił się na ziemię wraz ze mną.

Zerwałem się natychmiast i począłem biec, ile sił miałem, piechotą, ale było to próżne wysilenie. Wkrótce bryczka coraz dalej była ode mnie i dalej; potem widziałem ją już tylko, gdy błyskawica rozdarła chmury. Znikała w dali i ciemności jak ostatnia nadzieja. Próbowałem krzyczeć; nie mogłem: brakło mi tchu. Turkot dochodził mnie coraz słabiej i słabiej, wreszcie potknąłem się o kamień i upadłem.

Po chwili jednak podniosłem się.

– Odjechali! odjechali! zniknęli! – powtarzałem głośno i nie wiem już, co się tam we mnie działo. Byłem bezsilny, sam jeden wśród burzy i nocy. Ten szatan Mirza zwyciężył mnie. Ach! gdyby Kazio nie był pojechał z ojcem, gdybyśmy byli we dwóch gonili, a teraz? Co będzie?

– Co teraz będzie? – krzyknąłem głośno, żeby usłyszeć własny głos i nie zwariować. I zdawało mi się, że wicher naśmiewa się ze mnie i świszcze: „Siedzisz na drodze, bez konia, a on tam z nią.” I tak huczał wiatr, i śmiał się, i chychotał. Wróciłem zwolna do mego konia. Z nozdrzy wypływał mu strumień czarnej krzepnącej krwi, ale żył jeszcze, dychał i zwracał ku mnie gasnące oczy. Siadłszy przy nim, oparłem głowę na jego boku i także zdawało mi się, że umieram. A wiatr świszczał nade mną tymczasem i śmiał się, i wołał: „On tam z nią!” Zdawało mi się chwilami, że słyszę piekielny turkot tej bryczki, lecącej w ciemność wraz ze szczęściem moim. A wicher świszczał: „On tam z nią!” Ogarnęło mnie dziwne osłupienie. Jak długo trwało ono, nie wiem. Gdy się ocknąłem, burza już przeszła. Po niebie pędziły jasne stada lekkich białawych chmurek, ale w przerwach ich widniał błękit niebieski i księżyc świecił jasno. Z pól podnosiły się wilgotne opary. Nieżywy koń mój, który już był ostygł,

przypominał mi wszystko, co zaszło. Obejrzałem się wokoło, aby rozpoznać, gdzie się znajduję. Na prawo spostrzegłem dalekie światła w oknach, więc pośpieszyłem w tamtą stronę. Pokazało się, że byłem pod samą Ustrzycą.

Postanowiłem iść do dworu i zobaczyć się z panem Ustrzyckim, co mogłem zrobić tym łatwiej, że pan Ustrzycki nie mieszkał w pałacu, ale miał swój osobny domek, w którym zwykle przesiadywał i sypiał. Światło błyszczało jeszcze w jego oknach. Zapukałem do drzwi.

Otworzył mi sam i cofnął się z przestachem.

– Farsa! – rzekł – jak ty wyglądasz, Henryku?

– Piorun mi zabił konia pod samą Ustrzycą. Nie miałem innej rady, jak przyjść tu.

– W imię Ojca i Syna! Aleś ty przemókł, zziąbł. Ależ to już późno. Farsa! Każę ci dać coś zjeść i ubranie.

– Nie! nie! ja chcę zaraz wracać.

– Ale! Dlaczego to Hania nie przyjechała? Moja żona jutro o drugiej wyjeżdża. Myśleliśmy, że ją przyślecie na noc.

Postanowiłem nagle powiedzieć mu wszystko, bo potrzebowałem jego pomocy.

– Panie! – rzekłem – stało się u nas nieszczęście. Liczę na to, że pan nie wspomnisz nic nikomu, ani żonie swej, ani córce, ani guwernantkom. Chodzi tu o honor naszego domu.

Wiedziałem, że nikomu nie powie, a zresztą mało miałem nadziei, żeby sprawa się ukryła; dlatego wolałem go uprzedzić, aby w danym wypadku mógł rzecz tłumaczyć. Opowiedziałem więc mu wszystko, wyjąwszy tego, że sam kochałem się w Hani.

– A to ty musisz się bić z Selimem? Farsa! Co? – rzekł wysłuchawszy mnie do końca.

– Tak jest. Chcę się bić zaraz jutro. Ale dziś jeszcze chcę ścigać ich dalej i dlatego proszę, byś mi pan dał natychmiast najlepsze konie.

– Ścigać ich nie masz potrzeby. Nie pojechali nigdzie daleko. Jeździli, jeździli po różnych drogach i wrócili do Chorzel. Gdzieżby uciekli? Farsa! Wrócili do Chorzel, padli do nóg staremu Mirzie! Nie mieli innej rady. Stary Mirza zamknął Selima w śpichrzu, a pannę... pannę odwiezie do was. Farsa, co? Ale Hania, Hania! no!

– Panie Ustrzycki!

– No, no, moje dziecko, nie gniewaj się! Ja jej tego za złe nie biorę. Kobiety moje, to co innego! Ale po co czas tracić?

– O! tak, czasu nie traćmy. Ustrzycki zastanowił się przez chwilę.

– Wiem już jak zrobić. Ja natychmiast pojedę do Chorzel, a ty jedź do domu, a najlepiej czekaj tu. Jeżeli Hania jest w Chorzelach, to ją zabiorę i odwiezę do was. Może mi jej nie

oddadzą? Farsa! Ale wolę być razem ze starym Mirzą, gdy ją odwieziemy, bo twój ojciec gwałtowny człowiek. Gotów wyzwąć starego, a stary nic nie winien. Co?

– Ojca nie ma w domu.

– To lepiej! to lepiej!

Tu pan Ustrzycki zaklaskał w ręce.

– Janek! sam tu! Wszedł pokojowiec.

– Konie mi z bryczką za dziesięć minut. Rozumiesz?

– A dla mnie konie? – rzekłem.

– Drugie dla pana! Farsa, panie dobrodzieju!

Milczeliśmy przez czas jakiś. Po chwili rzekłem:

– Czy pan pozwoli, żebym napisał do Selima? Wolę go wyzwąć listownie.

– Dlaczego?

– Obawiam się, że stary Mirza nie pozwoli mi bić się. Wsadzi go do kozy na czas jakiś i będzie uważał, że to dosyć. A dla mnie to mało! mało! mało! Jeżeli Selim już siedzi w kozie, pan go nie zobaczy; przez starego robić tego nie można, list zaś można komuś zostawić. Ja ojcu także nic nie powiem, że się chcę bić. Może sam starego wyzwie, a stary nie winien. Ale jak my poprzednio wybijemy się z Selimem, to już nie będzie racji. A wszakże sam pan powiedział, że ja muszę się z nim bić.

– Ja bym to tak uważał! Bić się, bić się! Dla szlachcica to tam zawsze najlepszy środek, a czy stary, czy młody, to wszystko jedno! Komu innemu: farsa! ale nie szlachcicowi. No! pisz! masz słuszność!

Siadłem i napisałem co następuje:

„Jesteś nikczemnik. Listem tym daję ci w twarz. Jeżeli nie stawisz się jutro około Wachowej chaty z pistoletami lub pałaszem, będziesz ostatnim tchórzem, którym prawdopodobnie jesteś.”

Zapieczętowałem list i oddałem panu Ustrzyckiemu. Po czym obaj wyszliśmy na podwórze, bryczki bowiem dla nas już zajechały. Przed samym wsiadaniem przyszła mi jedna przerażająca myśl do głowy.

– Panie! – rzekłem do Ustrzyckiego – a jeżeli Selim nie do Chorzel zawiózł Hanię?

– Jeżeli nie do Chorzel, tedy zyskał czas; jest noc, pięćdziesiąt dróg na wszystkie strony i... szukaj wiatru w polu. Ale gdzieżby ją zawiózł?

– Do miasta N.

– Szesnaście mil jednymi końmi? Tedy bądź spokojny. Farsa, co? Tedy jutro pojedę do N., dziś nawet jeszcze, ale pierwszej do Chorzel; powtarzam ci, bądź spokojny!

W godzinę potem byłem już w domu. Noc była późna, bardzo późna nawet, ale w oknach wszędzie migały światła. Snadź ludzie biegali ze światłem po różnych pokojach. Gdy bryczka moja zadudniła przed gankiem, skrzypnęły drzwi i do sieni wyszedł ksiądz Ludwik ze świecą w ręku.

– Cicho! – szepnął do mnie kładąc palec na ustach.

– Hania? – spytałem gorączkowo.

– Ciszej mów. Hania już jest. Odwiózł ją stary Mirza. Chodź do mnie, opowiem ci wszystko.

Weszliśmy do pokoju księdza.

– Co się z tobą działo?

– Gonilem ich. Mirza zastrzelił mi konia. Czy ojciec jest?

– Wrócił zaraz po wyjeździe starego Mirzy. O, nieszczęście! Nieszczęście! Teraz jest przy nim doktor. Myśleliśmy, że dostanie apopleksji. Chciał zaraz jechać wyzwać starego Mirzę. Nie chodź do ojca, bo mogłoby mu to zaszkodzić. Jutro zaś proś go, żeby nie wyzywał Mirzy. Grzech to ciężki, a przy tym stary nie winien. Selima wybił i zamknął go, Hanię zaś odwiózł sam. Ludziom nakazał milczenie. Szczęście jeszcze, że ojca nie zastał.

Pokazało się, że stary Ustrzycki przewidział wszystko doskonale.

– Jak się Hania ma?

– Przemokła do nitki. Ma gorączkę. Ojciec okropnie ją złajał. Biedne dziecko!

– Czy doktor Staś widział ją?

– Widział i kazał się jej zaraz położyć. Stara Węgrowska siedzi przy niej. Zaczekaj tu na mnie. Pójdę do ojca, powiem mu, żeś przyjechał. Rozesłał już za tobą konie na wszystkie strony. Kazia także nie ma, bo pojechał cię szukać. Boże! Boże wszechmogący, co się tu działo!

Tak mówiąc ksiądz wyszedł do ojca, ja zaś nie mogłem wysiedzieć w jego pokoju i pobiegłem do Hani. Nie chciałem jej widzieć, o, nie! Kosztowałoby ją to bowiem zbyt wiele. Chciałem się raczej zapewnić, że wróciła *rzeczywiście*, że znowu znajduje się bezpieczna pod naszym dachem, blisko mnie, osłonięta od burzy i strasznych wypadków dnia dzisiejszego. Dziwne uczucia miotaly mną, kiedym się zbliżył do jej pokoju. Nie gniew, nie nienawiść, ale żal ciężki, głęboki czułem w sercu i wielką, niewypowiedzianą litość dla tej biednej i nieszczęśliwej ofiary szaleństwa Selima. Myślałem o niej jak o gołąbce, którą porwał jastrząb. Ach! ileż biedaczka musiała doznać upokorzeń, przez jakież wstyd przejść w Chorzelach wobec starego Mirzy! Przysiągłem sobie natychmiast nie zrobić jej najmniejszego wyrzutu, ani dziś, ani nigdy i postępować z nią tak, jakby nigdy nic nie zaszło.

W chwili kiedy przyszedł pod drzwi jej pokoju, drzwi te otworzyły się i wyszła z nich stara Węgrowska. Zatrzymałem ją i spytałem:

– Czy panienka śpi?

– Nie śpi, nie śpi, biedactwo – odpowiedziała babina. – O! mój paniczku złoty, żeby paniczek wiedział, co tu było! Jak starszy pan ryknął na panienkę (tu stara Węgrowska podniosła fartuch i poczęła łyzy ocierać), to myślałam, że nieboraczka zaraz na miejscu skona. A przestraszone to było, a przemokłe, o Jezu! Jezu!

– No, a teraz jak się ma?

– Obaczy paniczek, że ona odchoruje to wszystko. Szczęściem, że doktor jest pod ręką.

Kazałem Węgrowskiej wrócić zaraz do Hani i nie zamykać drzwi za sobą, bo chciałem spojrzeć na nią choć z daleka. Jakoż patrząc z ciemnego pokoju przez odchyłone drzwi, ujrzałem ją siedzącą na łóżku, ubraną w bieliznę nocną. Na twarzy miała mocne rumieńce, oczy błyszczące; widziałem przy tym, że oddycha szybko. Widocznie miała gorączkę.

Wahałem się przez czas jakiś, czy wejść, czy nie wejść, ale w tej chwili ksiądz Ludwik trącił mnie w ramię.

– Ojciec cię woła – rzekł.

– Księżu Ludwiku! ona chora!

– Doktor zaraz pójdzie znów do niej. Tymczasem rozmówisz się z ojcem. Idź, idź! już późno.

– Która godzina?

– Pierwsza-po północy.

Uderzyłem się ręką w czoło. A wszakże to o piątej rano miałem się bić z Selimem.

XI

Po rozmowie z ojcem, która trwała z pół godziny, wróciłem do stacji i nie kładłem się już wcale. Wyrachowałem, że aby zdążyć na piątą do Wachowej chaty, muszę przynajmniej o czwartej wyjść z domu, miałem więc tylko niespełna trzy godziny przed sobą. Wkrótce zresztą nadszedł i ksiądz Ludwik zobaczyć, czym nie chory po owej szalonej jeździe i czym przebrał się należycie po przemoknięciu. Ale dla mnie przemoknąć było to samo, co i nie

przemoknąć. Ksiądz nalegał na mnie, bym zaraz się położył do łóżka, ale tymczasem sam się rozgadał i tak przeszła z godzina czasu.

Opowiadał mi jeszcze szczegółowo o tym, co mówił stary Mirza. Pokazało się z tego opowiadania, że Selim popełnił po prostu szaleństwo, ale jak mówił ojcu, nie widział innego sposobu. Sądził, że po dokonanej ucieczce ojciec jego nie będzie miał innego sposobu, jak tylko pobłogosławić, my zaś: oddać mu Hanię. Pokazało się także, że już po rozmowie ze mną nie tylko pisał do Hani, ale widział się z nią i że właśnie wówczas namówił ją do ucieczki. Dziewczynka, mimo że nie zdawała sobie sprawy z następstw tego kroku, opierała mu się instynktowo ze wszystkich sił; ale Selim opętał ją swymi prośbami i swoją miłością. Przedstawił jej przy tym ucieczkę jako prostą przejażdżkę do Chorzel, po której mieli już być na wieki połączeni i szczęśliwi. Zapewnił ją, że potem sam odwiezie ją do nas na powrót, ale już jako swoją narzeczoną, że ojciec mój zgodzi się na wszystko, ja zaś muszę się zgodzić, a co większa, pocieszę się łatwo przy Loli Ustrzyckiej w Ustrzycy. Zaklinał wreszcie Hanię i prosił, i błagał. Mówił jej, że on dla niej poświęciłby wszystko, nawet życie; że nie przeżyje rozłączenia, że się utopi, zastrzeli lub otruje. A potem rzucił się jej do nóg i tyle sprawił, że dziewczynka zgodziła się na wszystko. Skoro jednak ucieczka nastąpiła i skoro ruszyli z miejsca, Hania przestraszyła się i ze łzami poczęła go błagać, żeby wrócił: ale on nie chciał, bo jak sam ojcu mówił, zapomniał wtedy już o całym świecie.

Tak opowiadał księdzu Ludwikowi stary Mirza, a opowiadał może i dlatego, żeby dowieść, że jakkolwiek Selim ważył się na krok szalony, ważył się nań jednak w dobrej wierze. Biorąc to wszystko na uwagę, ksiądz Ludwik nie podzielał gniewu ojca, którego oburzyła niewdzięczność Hani. Według księdza, Hania nie była niewdzięczną, była tylko zbłąkaną przez grzeszną, bo światową miłość. Z tego powodu udzielił i mnie ksiądz kilka budujących nauk o światowych uczuciach, ale ja tam wcale nie miałem za złe Hani, że jej miłość była światową; zapłaciłbym tylko życiem za to, żeby była inaczej skierowaną. Dla Hani czułem litość najżywszą, a przy tym tak mi już serce przyrosło do niej, że chcąc je oderwać, trzeba by było chyba je rozerwać. Prosiłem jeszcze księdza, żeby wstawił się za nią do ojca i tłumaczył mu jej postępek, tak jak mnie go tłumaczył, po czym pożegnałem go, bo chciałem sam zostać.

Po odejściu księdza zdjąłem ze ściany ową sławną starą szablę, darowaną mi przez ojca, i pistolety, aby przygotować wszystko do jutrzejszego spotkania. O tym spotkaniu nie miałem dotąd ani czasu, ani ochoty rozmyślać. Chciałem się bić na śmierć i życie, oto wszystko. O Selimie byłem przekonany, że mnie nie zawiedzie. Przetarłem ostrożnie szablę miękką watą; na szerokiej, błękitnej jej klindze, mimo jakich dwustu lat wieku, nie było najmniejszej skazy,

choć niemało nacięła się za dni swych hełmów i naramienników, niemało wypła krwi szwedzkiej, tatarskiej i tureckiej. Złoty napis: „Jezus, Maria!”, błyszczał wyraźnie; spróbowałem ostrza: cienkie było jak brzeżek jedwabnej wstążki; błękitne turkusy na rękojeści zdawały się uśmiechać, jakby prosząc się ręki, by je chwyciła i rozgrzała.

Skończywszy z szablą, wziąłem się do pistoletów, bom nie wiedział, jaką broń Selim wybierze; napuściłem oliwą zaniki i płócienne płatki do kul, po czym nabiłem oba ostrożnie. Szarzało już. Była godzina trzecia. Skończywszy robotę, rzuciłem się na fotel i począłem rozmyślać. Z przebiegu wypadku i z tego, co mi powiedział ksiądz Ludwik, wywijał się coraz wyraźniej jeden pewnik: oto, że wszystkiemu, co zaszło, byłem też i ja niemało winien. Pytałem siebie, czym spełniał należycie obowiązek opieki, jaki na mnie włożył stary Mikołaj, i odpowiedziałem: nie. Czym myślał tylko o Hani, nie o sobie? Odpowiedziałem: nie! O kogo mi chodziło w tej całej sprawie? Po prostu o siebie. A przy tym Hania, ta łagodna, bezbronna istota, była między nami tym, czym gołąbka w gnieździe drapieżnych -ptaków. Nie mogłem przytłumić w sobie tej niezmiernie przykrej myśli, że obaj z Selimem rozrywaliśmy ją między sobą, jako łup ponętny, a w tej walce, gdzie drapieżnikom głównie o siebie chodziło, najwięcej ucierpiała ta, która najmniej była winna. Oto za parę godzin mieliśmy o nią zwieść walkę ostatnią. Przykre, ciężkie to były myśli. Okazało się, że cały ten nasz świat szlachecki za szorstki był dla Hani. Matki mojej, na nieszczęście, od dawna nie było w domu, a my, mężczyźni, mieliśmy za szorstkie ręce i zmięliśmy ten delikatny kwiat, rzucony pomiędzy nas losem. Wina ciążyła na całym naszym domu i winę tę potrzeba było zmazać krwią moją albo Selima.

Byłem gotów na jedno i na drugie.

Tymczasem brzask dzienny coraz silniej i silniej począł zaglądać w moje okna. Za oknem jęły świegotać na powitanie zorzy porannej jaskółki. Zagasiłem świece, palące się na stole; było już prawie widno. Godzina wpół do czwartej uderzyła donośnie w sali domowej. „No! czas!” pomyślałem sobie i zarzuciwszy na ramiona płaszcz dla ukrycia broni, na wypadek gdyby mnie kto spotkał, wyszedłem ze stancji.

Przechodząc koło domu, spostrzegłem, że drzwi główne od sieni, które na noc zamykano zwykle na żelazne lwie paszcze, były już otwarte. Widocznie ktoś wyszedł z domu, musiałem więc zachować wszelką ostrożność, aby się z nim nie spotkać. Cicho skradając się bokiem dziedzińca ku lipowej alei, rozglądałem się ostrożnie na wszystkie strony, ale zdawało mi się, że wszystko naokół śpi jeszcze spokojnie. W alei jednak dopiero podniosłem śmiało głowę, pewny, że mnie już z domu nie zobaczą. Ranek po wczorajszej burzy robił się przeczysty i śliczny. Miodowa woń lip mokrych uderzyła mnie w alei potężnie. Skręciłem na lewo ku

kuźni, młynom i grobli, tamtędy bowiem wypadła mi droga do Wachowej chaty. Sen i zmęczenie, pod wpływem świeżości poranku i pogody, uleciały ode mnie daleko. Byłem pełen jakiejś dobrej otuchy i niby przeczucie jakieś wewnętrzne mówiło mi, że w tej walce, która miała za chwilę nastąpić, ja zwyciężę. Selim strzelał wprawdzie z pistoletów jak mistrz, ale i ja strzelałem nie gorzej; w robieniu szabłą przewyższał mnie wprawdzie zręcznością, ale za to ja znów byłem daleko silniejszy, do tego stopnia silniejszy, że zaledwie mógł wytrzymać na szabli moje cięcia. „A zresztą, niech będzie co chce – myślałem sobie – oto jest koniec i jeśli nie rozwiązanie, to rozcięcie tego węzła gordyjskiego, który krępował mnie i dusił od tak dawna.” A przy tym Selim w dobrej czy złej wierze wyrządził wielką krzywdę Hani, musiał więc za tę krzywdę zapłacić.

Tak rozmyślając doszedłem do brzegu stawu. Mgły i opary opadały z powietrza na wodę. Świtanie umalowało błękitne szyby stawów barwami zórz. Wczesny ranek dopiero się rozpoczynał naprawdę; powietrze stawało się coraz przeźroczystsze, a rzeźwo było wszędzie, a pogodnie, a różano, a cicho; tylko z szuwarów dochodziło uszu moich kwakanie dzikich kaczek. Byłem już blisko śluzy i mostu, gdy nagle zatrzymałem się jak w ziemię wbity.

Na moście stał mój ojciec z rękami założonymi za siebie i z fajką wygasłą w rękach; stał oparty o poręcz mostu i patrzył zamyślony na wodę i na zorzę poranną. Widocznie tak jak i ja nie mógł zasnąć i wyszedł, chcąc odetchnąć rannym powietrzem, a może spojrzeć tu i ówdzie na gospodarstwo.

Nie spostrzegłem go zrazu, bom szedł bokiem drogi, zatem wierzby zasłaniały mi poręcz mostu; byłem jednak nie dalej jak o dziesięć kroków. Schowałem się za wierzbę, sam nie wiedząc, co mam na razie robić.

Ale ojciec siał ciągle na miejscu. Spojrzałem nań: na twarzy jego malowała się troska i bezsenność. Wodził oczyma po stawie i mruczał pacierze poranne. Do uszu moich doszło wyraźnie:

– Zdrowaś Maria, łaskiś pełna, Pan z Tobą! – Tu dalszy ciąg począł szeptać cicho, a potem znowu głośno:

– I błogosławion owoc żywota Twojego. Amen.

Zniecierpliwiło mnie tak stać za wierzbą i postanowiłem przemknąć się cicho przez most. Mogłem to uczynić, albowiem ojciec stał odwrócony ku wodzie, a przy tym, jak wspomniałem, był trochę głuchy, bo jeszcze za czasów swych wojskowych ogłuchł był od zbyt dużego huku dział. Stąpając tedy ostrożnie, przebierałem się przez most za dalsze wierzby, na nieszczęście jednak źle poobsadzone dyle drgnęły, ojciec obejrzał się.

– Co ty tu robisz? – spytał.

Zarumieniłem się jak burak.

– Przejść się, ojcze, idę, przejść się tylko.

Ale ojciec zbliżył się ku mnie i odchyliwszy trochę płaszcz, którym osłaniałem się starannie, ukazał na szablę i pistolety i rzekł:

– A to co?

Nie było rady: należało się przyznać.

– Powiem już ojcu wszystko – rzekłem – idę się bić z Mirzą.

Myślałem, że ojciec wybuchnie gniewem, ale nad spodziewanie moje nie wybuchnął, tylko spytał:

– Kto kogo wyzwiał?

– Ja jego.

– Bez poradzenia się z ojcem, bez powiedzenia słowa?

– Wyzwałem go wczoraj, zaraz po pogoni, w Ustrzycy. Nie mogłem, ojcze, pytać się o nic, a zresztą bałem się, że ojciec zabroni.

– I zgadłeś. Wracaj do domu. Całą tę sprawę mnie zostaw.

Serce ścisnęło mi się tak boleśnie i rozpaczliwie, jak nigdy.

– Ojcze – rzekłem – zaklinam cię na wszystko, co ci jest święte, na pamięć dziada, nie zabraniaj mi się bić z Tatarem. Pamiętam, jak nazywałeś mnie demokratą i gniewałeś się o to na mnie. Otóż teraz przypomniałem sobie, że płynie we mnie krew dziada i twoja. Ojcze, on skrzywdził Hanię! i maż to mu być darowane? Niechaj nie mówią ludzie, że ród nasz dał ukrzywdzić sierotę i nie pomścił się za nią. Ja jestem bardzo winien: ja ją kochałem i nie powiedziałem ojcu o tym, ale przysięgam, że gdybym nawet nie kochał jej, to dla jej sieroctwa, dla naszego domu i dla naszego imienia uczyniłbym toż samo, co teraz czynię. Sumienie mówi mi, że to jest szlachetne – i ty, ojcze, mi nie zaprzeczysz; ale, jeśli tak jest, to ja nie wierzę, żebyś ty bronił mi być szlachetnym; ja nie wierzę! nie wierzę, ojcze! Ojcze! pamiętaj: Hania skrzywdzona, a ja wyzwiałem, ja dałem słowo. Wiem, że jeszcze niedorosły, ale czyż niedorosły nie ma takiej samej czci i takiego samego honoru jak dorosły? Jam wyzwiał, ja dałem słowo, a uczyłeś mnie nieraz, że honor to pierwsze prawo szlachcica. Ja dałem słowo, ojcze! Hania skrzywdzona, na domu naszym plama i ja dałem słowo. Ojcze! ojcze!

I zawisnąwszy mu ustami na rękę, rozplakałem się jak bóbr; modliłem się prawie do ojca; ale też w miarę jak mówiłem, surowa twarz jego miękła i łagodniała coraz bardziej: podniósł oczy w górę i ciężka gruba łza, prawdziwie ojcowska, spłynęła mi na czoło! Toczył ciężką

walkę z sobą, bo byłem żrenicą jego oka i kochał mnie nade wszystko na świecie, więc drżał o mnie, lecz wreszcie schylił posiwiałą głowę i rzekł cichym, zaledwie dosłyszalnym głosem:

– Niech cię prowadzi Bóg ojców twoich. Idź, chłopcze, idź się bić z Tatarem!

Padliśmy sobie w objęcia. Ojciec przycisnął mnie do siebie i długo, długo trzymał mnie na piersi swojej. Potem jednak otrząsnął się ze wzruszenia i rzekł do mnie z mocą i weselej:

– A to już bij, chłopcze, aż będzie w niebie słychać!

Pocałowałem go w rękę, on zaś:

– Na szable, czy na pistolety?

– On wybierze.

– A świadkowie?

– Bez świadków. Ufam ja jemu, a on mnie. Po co nam świadkowie, ojczy?

I znowu rzuciłem mu się na szyję, bo czas mi było ruszać. Odszedłszy ze staję drogi, obejrzałem się: ojciec stał jeszcze na moście i żegnał mnie z daleka krzyżem świętym. Pierwsze promienie wschodzącego słońca, padłszy na wyniosłą jego postać, otoczyły ją jakby świetlistą aureolą. I tak w świetle, z podniesionymi rękoma, wydał mi się ten posiwiały weteran niby starym orłem, błogosławiącym z daleka swoje piskłę na takie życie gromkie i skrzydlate, w jakim sam kiedyś się lubował.

Ach! serce tak mi wezbrało wówczas, tyle miałem otuchy, wiary i zapału, że gdyby nie jeden, ale dziesięciu Selimów czekało na mnie u Wachowej chaty, wszystkich dziesięciu wyzwiałbym natychmiast o lepszą.

Przyszedłem wreszcie do chaty. Selim czekał na mnie na skraju lasu. Przyznaję, że gdym spojrzał nań, uczułem w sercu coś takiego, co czuje wilk patrząc na łup swój. Spojrzeliśmy sobie groźnie i ciekawie w oczy. Selim zmienił się przez te parę dni; schudł i zbrzydł, a może mnie się tylko tak zdawało, że zbrzydł. Oczy jego świeciły gorączkowo, końce ust drgały.

Poszliśmy obaj natychmiast w głąb lasu, ale przez całą drogę nie mówiliśmy do siebie ani słowa. Wreszcie znalazłszy małą polankę między sosnami, zatrzymałem się i rzekłem:

– Tu. Zgoda?

Kiwnął głową i począł rozpinać surdut, aby zrzucić go do pojedynku.

– Wybieraj! – rzekłem ukazując mu pistolety i szablę.

Wskazał na szablę, którą miał z sobą: turecką, mocno zakrzywioną na końcu damascenkę.

Tymczasem zrzuciłem surdut; on poszedł za moim przykładem, ale poprzednio wydobyl z kieszeni list.

– Jeżeli zginę, proszę, oddaj to pannie Hannie.

– Nie przyjmuję.

– To nie zwierzenia, to wyjaśnienia.

– Zgoda.

Tak rozmawiając, zawinęliśmy rękawy od koszul. Teraz dopiero serce poczęło mi bić żywiej. Wreszcie Selim chwycił za rękojeść; wyprostował się, stanął w postawie szermierskiej, wyzywającej, dumnej i trzymając szablę poziomo, wyżej głowy, rzekł krótko:

– Jestem gotów.

Stanąłem w takiej samej postawie, wsparłszy szablę na jego szabli.

– Czy już?

– Już.

– Zaczynamy!

Uderzyłem od razu nań tak natarczywie, że aż się musiał cofnąć kilka kroków, a przy tym z trudnością utrzymywał moje rączy na szabli; na każde cięcie jednak odpowiadał cięciem z taką szybkością, że uderzenie i odpowiedź rozlegały się prawie równocześnie.

Rumieniec oblał mu twarz; nozdrza się rozděły, oczy wyciągnęły na wskos po tatarsku i poczęły ciskać błyskawice. Przez chwilę słyhać tylko było warczenie kling, suchy dźwięk stali i świszczący oddech naszych piersi. Selim zrozumiał wkrótce, że jeśli walka przedłuży się, on musi ulec, bo nie stanie mu sił ni płuc. Grube krople potu wystąpiły mu już na czoło, oddech stawał się coraz chrapliwszy. Ale też ogarnęła go jakaś wściekłość, jakieś szaleństwo bojowe. Włosy, rozrzucone ruchem, opadły mu na czoło, w otwartych ustach połyskiwały białe, zaciśnięte zęby. Rzekłbyś, natura tatarska rozbudziła się w nim i zdziczała, czując szablę w rękę i wietrząc krew przed sobą. A jednakże miałem nad nim przewagę równej furii, a większej siły! Raz już nie utrzymał cięcia i krew trysnęła z jego lewego ramienia; po kilku sekundach sam koniec mej szabli znowu dotknął mu czoła. Straszny był wówczas z tą czerwoną wstążką krwi, pomieszaną na wpół z potem i ściekającą po twarzy na usta i brodę. Zdawało się to go podniecać. Przyskakiwał do mnie i odskakiwał jak ranny tygrys. Koniec jego szabli wił się ze straszliwą szybkością ognistego piorunu koło mojej głowy, ramion i piersi. Z trudnością chwytałem te szalone cięcia, tym bardziej żem więcej myślał o tym, żeby je zadawać. Chwilami docieraliśmy do siebie tak blisko, że pierś prawie uderzała o pierś. Nagle Selim odskoczył, szabla zaświszczała tuż koło mojej skroni; ale odbiłem ją z taką siłą, że głowa Selima pozostała na chwilę odkryta, wymierzyłem cios, zdolny rozplatać ją na dwoje i... niby piorun uderzył nagle w moją czaszkę; krzyknąłem: „Jezus, Maria!” Szabla wypadła mi z ręki i jakby porażony upadłem twarzą na ziemię.

XII

Co się działo ze mną przez czas długi, nie wiem i nie pamiętam. Gdym się rozbudził, leżałem na wznak w pokoju i na łóżku ojca, ojciec zaś siedział przy mnie w fotelu, z głową przechyloną w tył, blade i z przymkniętymi oczyma. Okiennice były pozamykane, na stole paliły się świece, a w ciszy wielkiej, panującej w pokoju, słyszałem tylko szept zegara. Przez jakiś czas patrzyłem bezmyślnie w sufit i zbierałem leniwe myśli, potem próbowałem się poruszyć, ale przeszkodził mi nieznośny ból w głowie. Ten ból przypomniał mi trochę wszystko, co zaszło, więc ozwałem się cichym, osłabionym głosem:

– Ojcze!

Ojciec drgnął i pochylił się nade mną. Radość, pomieszana z czułością, odmalowała się na jego twarzy i rzekł:

– Boże! dzięki Ci! odzyskał przytomność. Co, synku? co?

– Ojcze, ja biłem się z Selimem?

– Tak, kochanie moje! Nie myśl o tym!

Przez chwilę panowało milczenie, a potem spytałem:

– Ojcze! a kto mnie tu przyniósł do pokoju z lasu?

– Ja przyniosłem cię na rękę; ale nie mów nic, nie męcz się.

Nie upłynęło jednak pięć minut, jak znów zacząłem pytać. Mówiłem tylko bardzo wolno:

– Ojcze!

– Co, dziecko moje?

– A co się stało z Selimem?

– Zemdlał także z utraty krwi. Kazałem go odwieźć do Chorzel.

Chciałem jeszcze pytać o Hanię i o matkę, ale czułem, że znów opuszcza mnie przytomność. Zdawało mi się, że jakieś psy czarne i żółte zaczęły tańczyć na dwóch łapach koło mojego łóżka, i począłem się im przypatrywać. To znów marzyło mi się, że słyszę głosy fujarek wiejskich, to chwilami zamiast zegara, który wisiał naprzeciw mojego łóżka, widywałem twarz jakąś, wyglądającą ze ściany i chowającą się w nią na przemian. Nie był to stan zupełnej nieprzytomności, tylko gorączki i rozproszenia myśli; musiał jednak trwać dosyć długo. Chwilami było mi trochę lepiej, a wtedy rozpoznawałem na wpół twarze, otaczające moje łóżko: to ojca, to księdza, to Kazia, to doktora Stasia. Pamiętam, że między twarzami tymi brakło mi jednej, ale nie mogłem dojść – której; wiem jednak, że czułem ten

brak i że szukałem jej instynktowo. Raz w nocy, usnąwszy mocno, rozbudziłem się nad ranem. Świece paliły się jeszcze na stole. Było mi jakoś bardzo, bardzo słabo. Nagle spostrzegłem schyloną nad łóżkiem osobę, której nie poznałem od razu, ale na widok której zrobiło mi się tak błogo, jakbym już umarł i był wzięty do nieba. Była to anielska jakaś twarz, ale tak anielska, taka święta, dobra z tymi łzami, płynącymi jej cicho z oczu, że uczułem jakby i mnie na płacz się zbierało. Ale wówczas wróciła mi iskra przytomności, rozjaśniło mi się w oczach i zawołałem słabo a cicho:

– Mamo!

Anielska twarz pochyliła się ku mojej wychudzonej ręce, leżącej bez ruchu na kołdrze, i przycisnęła do niej usta. Usiłowałem się podnieść, ale uczułem znowu ból w skroniach, więc zawołałem tylko:

– Mamo! boli!

Matka moja, bo ona to była, poczęła zmieniać okłady z lodem, leżące na mej głowie. Zawsze ten opatrunek przyczyniał mi niemało cierpień, ale teraz te słodkie, kochane ręce z taką troskliwą delikatnością poczęły poruszać się koło mej biednej, porąbanej głowy, że nie czując najmniejszej boleści, począłem szeptać:

– Dobrze! o, dobrze!

Odtąd byłem już przytomniejszy, pod wieczór tylko zapadałem w gorączkę. Widywałem wtedy Hanię, chociaż gdym był przytomny, nie widziałem jej przy sobie nigdy. Ale widywałem ją zawsze w jakimś niebezpieczeństwie. To raz wilk z czerwonymi oczyma rzucił się na nią, to znów porywał ją ktoś, niby Selim, a niby nie Selim, bo z twarzą porośniętą czarną szczeciną i z rogami na głowie. Wówczas czasem krzyczałem, a czasem prosiłem wilka lub owego rogacza bardzo grzecznie i pokornie, żeby jej nie porywał. W takich chwilach matka kładła mi rękę na czoło i złe mary znikwały natychmiast.

Wreszcie gorączka opuściła mnie stanowczo, odzyskałem zupełną przytomność, ale nie znaczyło to, że byłem zdrowszy. Przyplątała się jakaś inna choroba, jakieś niesłychane osłabienie, pod wpływem którego gasłem widocznie. Po całych dniach i nocach wpatrywałem się w jeden punkt na suficie. Byłem niby przytomny, ale obojętny na wszystko. Nie obchodziło mnie ani życie, ani śmierć, ani osoby, czuwające nad moim łóżkiem. Odbierałem wrażenia, widziałem wszystko, co się koło mnie działo; pamiętałem wszystko, ale nie miałem dość sił, żeby zebrać myśli i żeby czuć. Raz wieczorem począłem widocznie konać. Postawiono koło mojego łóżka wielką żółtą świecę, potem ujrzałem księdza Ludwika, ubranego w komżę. Dawał mi Sakrament, następnie kładł na mnie Oleje święte, a przy tym szlochał tak, że mało od przytomności nie odszedł. Matkę wyniesiono zemdloną z pokoju;

Kazio wył płaczem pod ścianą i targał się za włosy; ojciec siedział z załamanymi rękoma, zupełnie jakby kamienny. Widziałem to wszystko doskonale, ale byłem zupełnie obojętny i patrzyłem jak zwykle martwym, szklanym okiem na sufit, na poręcz łóżka w nogach lub na okno, przez które wpadały mleczne i srebrne snopy księżycowego światła.

Następnie do pokoju wszystkimi drzwiami poczęła się cisnąć służba; krzyki, łkania i wycie, któremu przywodził Kazio, napęłniały cały pokój, tylko ojciec po dawnemu siedział kamienny; ale wreszcie, gdy klękli wszyscy, a ksiądz począł mówić litanię i uciał, bo nie mógł od łez, ojciec porwał się nagle i ryknawszy: „O! Jezu! Jezu!”, rzucił się jak długi na podłogę. W tej chwili uczułem, że końce palców u rąk i nóg poczynają mi ziębnąć, ogarnęła mnie jakaś dziwna senność i ziewanie. „Aha! to ja umieram!” – pomyślałem sobie i usnąłem.

Ale istotnie usnąłem, zamiast umrzeć, i to usnąłem tak dobrze, że nie obudziłem się jak we dwadzieścia cztery godziny później i tak dalece wzmocniony na siłach, że sam nie umiał zdać sobie sprawy, co się ze mną zrobiło. Obojętność moja znikła, potężny młody organizm zwyciężył śmierć samą i budził się do nowego życia z nowymi siłami. Teraz znów działały się przy łóżku moim takie sceny radości, że i opisywać ich nie próbuję. Kazio fiksował po prostu ze szczęścia. Opowiadano mi później, że zaraz po pojedynku, kiedy ojciec odniósł mnie rannego do domu, a doktor od razu nie ręczył za moje życie, poczciwego Kazika musieli zamknąć, bo po prostu polował na Selima, jak na dzikie zwierzę i przysiągł sobie, że jeśli ja umrę, to go zastrzeli, gdzie go spotka. Szczęściem, i Selim, poraniony cokolwiek, musiał przez jakiś czas leżeć w łóżku.

Ale tymczasem każdy dzień przynosił mi coraz większą ulgę. Wracała mi ochota do życia. Ojciec, matka, ksiądz i Kazio czuwali dzień i noc nad moim łóżkiem. Jakże ja ich kochałem wtedy, jak tęskniłem, gdy które z nich choć na chwilę opuściło mój pokój. Ale razem z życiem poczęło i dawne uczucie dla Hani odzywać się na nowo w moim sercu. Kiedy obudziłem się z tego snu, który wszyscy za początek wiecznego snu poczytali, natychmiast spytałem o Hanię. Odpowiedział mi ojciec, że zdrowa, ale że wyjechała z panią d'Yves i siostrzyczkami do stryja, bo ospa powiększała się coraz bardziej we wsi. Mówił mi przy tym, że już jej przebaczył, że zapomniał, i kazał mi być spokojnym. Później jednak nieraz rozmawiałem o niej z matką, która widząc, że mnie ten przedmiot nad wszystkie inne zajmuje, sama zaczynała rozmowę, a kończyła ją anielskimi, lubo niewyraźnymi słowami, że gdy wyzdrowieję, wówczas pomówi z ojcem o wielu rzeczach, które dla mnie będą bardzo przyjemne, trzeba tylko, żebym był spokojny i starał się jak najprędzej przyjść do siebie.

Mówiąc to uśmiechała się smutno, mnie zaś chciało się płakać z radości. Czasem jednak trafiało się coś takiego w domu, co mąciło mój spokój, a nawet przejmowało mnie strachem.

Raz na przykład wieczorem, gdy matka siedziała przy mnie, wszedł służący Franek i poprosił ją do panny Hanny.

Siadłem natychmiast na łóżku.

– Hania przyjechała? – spytałem.

– Nie! – odrzekła matka. – Nie przyjechała. On prosi mnie do pokoju Hani, bo tam biela i dają nowe obicia.

Czasem zdawało mi się, jakby chmura ciężkiego a źle ukrywanego smutku leżała na czołach otaczających mnie osób. Nie rozumiałem nic, co się dzieje, a pytania moje zbywano byle czym. Badałem Kazia, odpowiadał tak jak i inni, że w domu wszystko dobrze, że siostry, pani d'Yves i Hania wkrótce wrócą i na koniec: żebym był spokojny.

– A skądże ten smutek? – spytałem.

– Widzisz, ja ci opowiem wszystko. Oto Selim ze starym Mirzą przyjeżdżają tu codziennie. Selim po całych dniach desperuje, płacze, chce cię widzieć koniecznie, a rodzice nasi boją się, żeby ci ta wizyta nie zaszkodziła.

Uśmiechnąłem się.

– Mądry Selim! – rzekłem. – Mało mi czaszki nie rozłupał, a teraz za mną płacze. A cóż: o Hani myśli ciągle?

– Ii... gdzie jemu tam Hania w głowie. Nie wiem zresztą, nie pytałem się o to, ale myślę, że on się już jej wyrzekł zupełnie.

– To kwestia!

– W każdym razie kto inny ją dostanie, bądź spokojny!

Tu Kazik przekrzywił twarz po studencku i dodał z miną franta:

– Wiem nawet kto. Dałby tylko Bóg, żeby...

– Żeby co?

– Żeby wróciła jak najprędzej – dodał pośpiesznie.

Słowa te uspokoiły mnie zupełnie. W parę dni potem, wieczorem, ojciec siedział przy mnie wraz z matką. Zaczęliśmy z ojcem grać w szachy. Po chwili matka wyszła, zostawiwszy drzwi otwarte, przez które widać było szereg komnat, na końcu zaś owego szeregu znajdował się pokój Hani. Spojrzałem nań, ale nie mogłem nic dojrzeć, wszystkie pokoje bowiem prócz mego były nie oświetlone, drzwi zaś od pokoju Hani, o ile mogłem dopatrzeć w ciemnościach, zamknięte.

Nagle wszedł tam ktoś, jakby doktor Stanisław, i nie domknął znów drzwi za sobą.

Serce uderzyło mi niespokojnie. W pokoju Hani było światło.

Światło to wpadało jasną smugą do ciemnej sąsiedniej sali, a na tle tej jasnej smugi zdawało mi się, że dojrzał delikatne zwoje dymu, kręcące się tak, jak kurz kręci się w świetle słonecznym.

Zwolna o powonienie moje uderzył jakiś niewyraźny zapach, który jednak z każdą sekundą stawał się coraz mocniejszy i mocniejszy. Nagle włosy zjeżyły mi się na głowie: rozpoznałem zapach jałowcu.

– Ojczy, co to jest? – zawołałem gwałtownie, zrzuciwszy szachy wraz z szachownicą na ziemię.

Ojciec zerwał się zmieszany, poczuwszy również ten przeklęty zapach i zamknął co prędzej drzwi od pokoju.

– Nic, to nic! – odpowiedział pośpiesznie. Ale ja byłem już na nogach, a lubo chwiałem się jeszcze, jednakże posunąłem się szybko ku drzwiom.

– Dlaczego tam kadzą jałowcem? – krzyknąłem – ja tam chcę pójść!

Ojciec pochwycił mnie w pól.

– Nie pójdziesz tam! nie pójdziesz, zabraniam ci!

Ogarnęła mnie rozpacz, więc chwyciwszy za bandażę, opasującą mi głowę, krzyknąłem z uniesieniem:

– A więc dobrze! Ale przysięgam, że zerwę te bandażę i rozdrapię ranę własnymi rękoma. Hania umarła! Ja ją chcę widzieć!

– Hania nie umarła, daję ci słowo! – wołał ojciec uchwyciwszy mnie za rękę i pasując się ze mną. – Zachorowała, ale zdrowsza! Uspokój się! uspokój! Czy nie dość jeszcze nieszczęść! Opowiem ci wszystko, ale połóż się. Iść do niej nie możesz. Zgubiłbyś ją. Uspokój się! Połóż się. Przysięgam ci, że zdrowsza.

Siły mnie opuściły i upadłem na łóżko, powtarzając tylko:

– Mój Boże! mój Boże!

– Henryku, przyjdź do siebie. Czyś ty kobieta? Bądź mężny. Ona już nie jest w niebezpieczeństwie. Obiecałem ci opowiedzieć wszystko i opowiem, ale pod warunkiem, że zbierzesz siły. Oprzyj głowę na poduszce! Ot, tak. Okryj się i leż spokojnie.

Byłem posłuszny.

– Już jestem spokojny, ale prędzej, ojczy, prędzej. Niech się już raz dowiem wszystkiego. Czy istotnie już zdrowsza? co jej było?

– A więc słuchaj: tej nocy, w której Selim ją porwał, była burza. Hania miała na sobie tylko lekką sukienkę, przemokła do nitki. Przy tym krok ten szalony kosztował ją niemało. W Chorzelach, dokąd zawiózł ją Mirza, nie miała się w co przebrać, więc w tej samej mokrej

sukience tu powróciła. Tegoż samego dnia już dostała dreszczów i silnej gorączki. Na drugi dzień stara Węgrowska nie umiała utrzymać języka i powiedziała jej o twoim wypadku. Powiedziała jej nawet, żeś zabity. Oczywiście zaszkodziło jej to. Wieczorem była już bezprzytomna. Doktor nie wiedział przez długi czas, co to jest, aż wreszcie... Wiesz: we wsi całej panowała i panuje dotąd ospa – Hania dostała ospy.

Przymknąłem oczy, bo zdawało mi się, że i ja odchodzę od przytomności, wreszcie rzekłem:

– Niech ojciec mówi dalej, przecie jestem spokojny.

– Były chwile – mówił dalej ojciec – wielkiego niebezpieczeństwa. Tego samego dnia, kiedy ciebie mieliśmy już za straconego, i ona była prawie konająca. Ale dla obojga was przysłała jednocześnie szczęśliwa kryzys. Dziś ona, tak jak i ty, jest rekonwalescentką. Za jaki tydzień będzie zupełnie zdrową. Ale co tu się działo w domu! Co się działo!

Ojciec skończył i patrzył na mnie uważnie, jakby w obawie, by słowa jego zbyt nie wstrząsnęły mego osłabionego jeszcze umysłu; ja zaś leżałem nieruchomie. Przez długi czas trwało milczenie. Zbierałem myśli i rozpatrywałem się w nowym nieszczęściu. Ojciec wstał i począł chodzić szerokimi krokami po pokoju, spoglądając od czasu do czasu na mnie.

– Ojczy? – rzekłem po długim milczeniu.

– Co, chłopcze?

– Czy... czy... bardzo zeszpecona?

Głos mój był spokojny i cichy, ale serce biło mi głośno w oczekiwaniu odpowiedzi.

– Tak! – odparł ojciec. – Jak to po ospie. Może być, że nie będzie żadnych znaków. Dziś jeszcze są, ale znikną, znikną pewnie.

Odwrociłem się do ściany, czułem, że robi mi się gorzej niż zwykle.

W tydzień jednak potem byłem już na nogach, a w dwa tygodnie ujrzałem Hanię. Ach! opisywać nawet nie próbuję, co się zrobiło z tej ślicznej, idealnej twarzy. Gdy biedaczka wyszła ze swego pokoju i gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, jakkolwiek przysiągłem sobie poprzednio, że nie pokażę po sobie najmniejszego wzruszenia, nagle zrobiło mi się słabo i zemdlałem jak nieżywy. O! jakże była zeszpecona okropnie!

Gdy mnie ocucono z omdlenia, Hania płakała głośno i nad sobą pewnie, i nade mną, bo i ja byłem podobniejszy jeszcze do cienia niż do człowieka.

– To ja wszystkiego tego przyczyną! – powtarzała łkając – ja przyczyną.

– Haniulku, siostrzyczko moja! nie płacz, ja cię zawsze będę kochał! – zawołałem i uchwyciłem jej ręce, chcąc podnieść je do ust jak dawniej.

Nagle drgnąłem i cofnąłem usta. Te ręce, niegdyś tak białe, delikatne i śliczne, były teraz okropne. Czarne plamy pokrywały je całkowicie, a przy tym stały się chropawe, wstrętne prawie.

– Ja cię zawsze będę kochał! – powtórzyłem z wysileniem.

Kłamałem. Miałem w sercu litość ogromną, łzawą i miłość brata, ale dawne uczucie uleciało, jak ptak ulata bez śladu.

Wyszedłem do ogrodu i w tej samej chmielowej altanie, gdzie nastąpiło pierwsze wyznanie między Selimem i Hanią, płakałem tak jak po zgonie drogiej osoby.

Bo też istotnie dawna Hania dla mnie umarła, a raczej miłość moja umarła i w sercu pozostała tylko po niej pustka i ból, jakby z niezagojonej rany, i wspomnienie, wyciskające łzy na oczy.

Siedziałem tak długo i długo! Cichy wieczór jesienny poczynał palić się czerwoną zorzą na szczytach drzew. Szukano mnie w domu, wreszcie do altany wszedł ojciec.

Spojrzał na mnie i uszanował mój żal.

– Biedny chłopcze – rzekł – Bóg doświadczył cię ciężko, ale ufaj Mu! On zawsze wie, co czyni.

Oparłem głowę na piersi ojca i przez jakiś czas milczeliśmy obaj.

Po niejakej chwili ojciec rzekł:

– Byłeś do niej przywiązany bardzo, więc powiedz mi: gdybym ci rzekł: „Daję ci ją, podaj jej rękę na całe życie”, cóż byś mi odpowiedział?

– Ojcze! – odrzekłem – miłość mogła ulecieć ode mnie, ale uczciwość nigdy: jestem gotów.

Ojciec ucałował mnie serdecznie.

– Niechże cię Bóg błogosławi. Poznaję cię; ale to nie twój obowiązek, nie twoja powinność: to powinność Selima.

– Czy on tu przyjedzie?

– Przyjedzie wraz z ojcem swoim. Ojciec jego wie już o wszystkim.

Jakoż o zmroku przyjechał Selim. Gdy ujrzał Hanię, zaczerwienił się, a potem zbladł jak płótno. Przez chwilę znać było na jego twarzy ciężką walkę serca z sumieniem. Snadź i od niego ulatywał ów ptak skrzydlaty, któremu imię: miłość. Ale zwyciężył się ten szlachetny chłopak: powstał, wyciągnął ręce, a potem upadł przed Hanią na kolana i zawołał:

– Haniu moja! Jam zawsze ten sam: ja nie opuszczę cię nigdy, nigdy!

Łzy obfite spłynęły po twarzy Hani, odsunęła jednak lekko Selima.

– Nie wierzę, nie wierzę, żeby mnie teraz kochać można – rzekła, a potem zakrywszy twarz rękoma, zawołała:

– O! jacy wyście wszyscy dobrzy i szlachetni! Jam tylko najmniej szlachetna, najwięcej grzeszna; ale to się już skończyło wszystko; jam już inna!

I mimo nalegań starego Mirzy, mimo próśb Selima, nie chciała oddać mu ręki. Pierwsza burza życiowa złamała ten śliczny kwiat, zaledwo rozkwitły. Biedna dziewczyna! potrzebowała teraz po burzy jakiej przystani świętej a cichej, gdzieby ukoić mogła sumienie i ukołysać serce.

Jakoż znalazła tę cichą i świętą przystań: została siostrą miłosierdzia. Później nowe wypadki i jedna straszliwa burza sprawiły, że stracił ją z oczu na długo.

Po kilku latach jednak ujrzałem ją niespodzianie; spokój i cisza malowały się w tych anielskich rysach; ślady straszliwej choroby znikły zupełnie; w czarnej sukience i białym klasztorным kapeluszu piękna była jak nigdy, ale już tą nieziemską pięknnością, więcej anielską niż ludzką.